№ 30. Warszawa, dnia 28 (16) Lipca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

SEJM CZESKI.

Stronnictwo narodowe, na wyborach do nowego sejmu praskiego, jak się tego ogólnie spodziewano, odniosło nad niemcami stanowcze zwycięstwo. Czesi zdobyli 167 krzeseł, gdy ich wrogom dostało się tylko 75; w dawnym zaś sejmie, pierwsi mieli 106 głosów, a ci, dzięki szacherce i poparciu c. k. policyi, aż 136. Przewaga tym sposobem czeska w nowym składzie sejmu rozporządza przeszło $^2/_3$ głosów, ma tedy w ręku moc nietylko rozstrzygania spraw bieżących w duchu narodowym, ale i przekształcania wielu ustaw zasadniczych, do czego według konstytucyi prosta większość jest niedostateczną.

Ogół narodu powitał radośnie nowe ciało prawodawcze, jako zgromadzenie reprezentacyjne, w którem potrzeby kraju, oddawna przez niemców wysysane, sprawiedliwie nareszcie oceniane i rozstrzygane być mogą. To też dzień otwarcia sejmu był nietylko dla Pragi, ale i dla Czech całych prawdziwą uroczystością. Wszyscy posłowie przybyli na nią w stroju odświętnym; przed gmachem uszykowała się w paradnych uniformach milicya obywatelska, z orkiestrą miejską na czele, a tłumy ludu witały swych przedstawicieli pełnemi zapału okrzykami.

Na pierwszem już posiedzeniu zawistni posłowie niemieccy postarali się kilku drobnemi demonstracyami okazać swe niezadowolenie z tego, że na wyborach pozostali... w mniejszości. Gdy nowomianowany marszałek, Jerzy Lobkowicz zagajał sesyę w języku krajowym wszyscy czesi powstali, niemcy zadąsani nie ruszyli się z krzeseł. Dziecinne to postępowanie centralistów, niezdolne wywołać burzy, spotkało się tylko z ironią.

Mimo ogólnego tryumfu stronnictwa narodowego, nie wszystkie wszakże jego odcienie jednako są zadowolone z rezultatów. Grupa młodoczeska, licząca w swych szeregach wielu wybitnych przedstawicieli inteligencyi krajowej, obecnie mniej, niż kiedykolwiek, oszczędza starych przywódców, i ostrej poddając krytyce ciemne strony nowego sejmu, domaga się reform radykalnych. Przewidywać można, że gdy już czesi rozporządzają ogromną większością i bój z niemcami zeszedł na drugi plan w porządku dziennym, żywioły postępowe społeczeństwa czeskiego rozpoczną niebawem walkę z tą partyą zachowawczą, która działa i występuje w imieniu narodu.

Największą bowiem wadą nowego sejmu jest ta okoliczność, że znaczna przewaga i cały mechanizm polityczny zgromadzenia reprezentacyjnego znajduje się nie w rękach przedstawicieli mas narodu, lecz ciasnego koła magnateryi czeskiej, czyli tak zwanych „feudałów." Najważniejsza też reforma, jakiej domaga się (a prędzej czy później osiągnie ją niezawodnie) lepsza część społeczeństwa, jest uchwalenie takich praw wyborczych, któreby ustaliły polityczny środek ciężkości, nadając ludowi czeskiemu przedstawicielstwo prawdziwie demokratyczne i postępowe, t. j. takie, jakim jest w gruncie ogół narodu.

Niektóre szczegóły z dziedziny ostatnich wyborów jaskrawo charakteryzują zarówno rażące wady austryackiego systemu wyborczego, jak i słabe strony reprezentacyi narodowej. Zestawiając ze sobą cyfry statystyczne dwu sejmów, okazuje się, że czesi zyskali obecnie 61 krzeseł. Ci jednak nowi posłowie (w liczbie 61) nie zostali bynajmniej powołani przez masę narodu. Z pomiędzy nich czterech wybrano w Pradze, trzech w Pilznie; reszta zaś (t. j. 54) stanowi właściwie drużynę przedstawicieli nie ogółu społeczeństwa, ale tylko nielicznej w Czechach grupy wielkich właścicieli ziemskich.

Austryackie ustawy wyborcze opierają się na zasadzie reprezentacyi interesów majątkowych. Cała masa wyborców podzielona została na cztery główne kategorye. Do 1-ej należą wieśniacy — z cenzem 5,10 zlr. podatków stałych; do 2-ej mieszczanie z takimże cenzem; do 3-ej członkowie izb handlowych, przedstawiciele wielkiego kapitału, handlu i przemysłu; do 4-ej wreszcie — pierwszorzędni posiadacze ziemscy, dzielący się znów na fideikomisowych, przedstawicieli starych rodów feudalnych i wielkich par excellence właścicieli, z cenzem 100 do 250 zlr. rocznych podatków stałych.

Główna wada tego systemu polega nietylko na zasadniczej niesprawiedliwości uprzywilejowania pewnych stanów i zbytniej wysokości cenzu, lecz zarazem na nieproporcyonalnej liczbie posłów, w stosunku do ogólnej ilości wyborców każdej pojedynczej gromady społecznej. Ostatnie wybory są najlepszym tego dowodem. W pierwszej np. grupie dwustu, w drugiej 135 — 150 wyborców na jednego przypada posła. Inaczej całkiem rzecz się ma w pozostałych sekcyach: wyborców, należących do grupy wielkich właścicieli, jest w całych Czechach około 375, a upełnomocnionych przez tę drużynę, posłów — aż 54 (!). Na 7 wyborców — jeden poseł. Grupa posiadaczy fideikomisowych składająca się z 25 członków, wysyła 16, wyraźnie — *szesnastu* przedstawicieli. Cały więc skład niemal tej sekcyi (oprócz 9-ciu jednostek) zasiada na sejmie w charakterze „reprezentantów narodu," gdy właściwie są oni tylko posłami... od samych siebie. Prawie to samo powtarza się w grupie izb handlowych: Praga, licząca 5,000 wyborców miejskich, wysadza ze swego grona 10 posłów (1 — na 500), ale za to Izba handlowa praska, złożona z 42 człon-

ków mianuje aż 4 przedstawicieli (1 — na 10).

Obok tej krzyczącej niesprawiedliwości i nielogiczności, system wyborczy austryacki kryje w swem łonie inne jeszcze, dla autonomii ludów słowiańskich bardzo groźne niebezpieczeństwo. Rezultat wyborów ostatnich wypadł pomyślnie dla czechów — jedynie z tego powodu, że przeważna ilość wielkich właścicieli głosowała za kandydatami czeskimi; 208 przytem dało kreskę czechom, a 167 niemcom. Wiele wprawdzie jednostek, należących do tej grupy, stawało oddawna w obronie interesów narodu: przeważna jednak liczba reprezentantów stronnictwa możnowładczego nie składa się z prawdziwych patryotów czeskich, ale raczej z rodzaju półpatryotów, ludzi dość miernych, powodujących się zazwyczaj prywatą i życzeniami rządu, z którym rozliczne kojarzą ich związki. Wobec tego stanu rzeczy, gdyby za rok zmieniło się ministeryum, lub gabinet obecny porzucił swe autonomiczne tendencye, dość byłoby mu wpłynąć na jakich 40—50 członków z grupy wielkich właścicieli, aby w Czechach, przy nowych wyborach, stanął znowu Sejm z większością centralistyczno-niemiecką. Tym sposobem owe dwie grupy uprzywilejowane, kierujące de facto losami narodu, stanowią, same w sobie, dość groźne dla jego interesów niebezpieczeństwo i czynią je zależnemi od nastroju sfer rządowych.

Z powyższego sprawozdania widać, o ile uzasadnionem jest żądanie „młodoczechów“ co do radykalnej reformy systemu wyborczego, a przynajmniej ograniczenia uprzywilejowanego stanowiska grupy wielkich właścicieli i izb handlowych. Trudno się spodziewać, żeby plan reformy doszedł do swego urzeczywistnienia w ciągu obrad bieżących; utrzymanie bowiem dzisiejszego stanu rzeczy zarówno leży w interesie rządu, jak i partyi zachowawczej. Mimo to program zmian radykalnych zyskuje coraz szerszy odgłos wśród zdrowej inteligencyi i mas ludu czeskiego. Łatwo więc przewidzieć, że walka młodoczechów z konserwatystami w czasie obecnej sesyi sejmowej skupi się głównie około zasadniczej reformy wyborczej.

S. C.

PRZYDATNOŚĆ OBYWATELSKA.

Kto się w chwili obecnej interesuje arystokracyą szwajcarską? Ani słychać o niej. A przecież istnieje ona — istnieje wedle prawa naturalnego, którego rewolucye na drodze ustawodawczej obalić nie mogły. Rewolucye obaliły ją formalnie. Pod tym względem rok 1847 był dla niej ciosem straszliwym. Sonderbund, wysiłek jej ostatni, wyparł ją ze stanowiska oficyalnego sfery rządzącej. Sonderbund — to jej „zamek świętej Trójcy,“ przez Pankracego zdobyty. Ale ani Pankracy z okrzykiem *Galilee vicisti* nie stoczył się w objęcia Leonarda i nie skonał, ani też arystokracya, wzorem hr. Henryka, w przepaść nie skoczyła. Nie nastąpiło nic podobnego. Coś jednak nastąpić musiało, jako wynik postradania stanowiska przewodniego.

Nie waham się powiedzieć, że to, co nastąpiło, wielki arystokracyi szwajcarskiej zaszczyt przynosi. Nie z własnej ze szranek ustąpiła woli; wyrzucono ją — trochę brutalnie nawet. Na dobry ład — to jest na ten ład, do którego stronnictwa w innych krajach uciekać się zwykły — powinna ona była o pomoc i opiekę do dworów zagranicznych kołatać, a przynajmniej, pył ojczyzny niewdzięcznej z trzewików otrząsnąwszy, uniecobecnić się. Nie uczyniła ani tego, ani owego. Usunęła się; zajęła stanowisko wyczekujące i oddała się... nauce. Pomiędzy nazwiskami, naprzykład, żyjących uczonych genewskich spotykamy nazwiska de Candollów, de Sausurów, Pictetów, Réviliodów, d' Espinów, Martignaców, Plantamourów, itp. Wszystko to są członkowie wielkich rodów, usuniętych od spraw publicznych; są to genewscy Potoccy, Zamojscy, Działyńscy — lekarze, naturaliści, lingwiści: jedni z nich, profesorowie uniwersytetu, wykładają, jak Martignac, bez pobierania pensyi, przez lat trzydzieści, lub kosztem własnym, jak Plantamour, zaopatrują w teleskopy i inne narzędzia — obserwatoryum astronomiczne; drudzy, uprawiając niwę naukową, gromadzą zbiory, zakładają i urządzają na użytek publiczny muzea, piszą dzieła naukowe, łożą na wynalazki—służą, jednem słowem, krajowi, który jest ich ojczyzną — zasługują się, marząc o sferze rządzącej. Marzenie to, w warunkach przydatności, jakiej dowody składają, ogół uwzględnia, otaczając szacunkiem malkontentów, co się w tak zacny sposób mścić umieją.

Któż zemsty tego rodzaju nie nazwie szlachetną?

Całkiem inny widok przedstawia się o miedzę — we Francyi. Jak się tam mszczą na ogóle — sfery, które rządzącemi były, a nie są, dosyć czytać sprawozdania z obrad parlamentarnych, lub rozprawy organów, obecnemu porządkowi rzeczy nieprzyjaznych. Francuski „hr. Henryk“ występuje na arenie publicznej pod postacią warchoła, halaburdy, niekiedy denuncyanta, przybierającego tę piękną rolę — dzięki jedynie bezkarności, jaką mu zapewnia łagodna, dla wzajemnie szanujących się obywateli napisana, konstytucya. Poza areną publiczną zaś, na polu życia towarzyskiego, hrabia ów rozpasuje się na zbytki wszelakie. Karnawał tegoroczny w Paryżu był jednym ciągiem szału, który owładnął rojalistów, sadzących się jedni nad drugich na bale, przyjęcia, stroje, jadła, wystąpienia teatralne, koncertowe, etc. etc. Być może, iż był to rodzaj przełomu, znamionujący początek końca. Nie będziemy się jednak w domysły wdawali. Zaznaczamy fakt, jak się wyraził, stawiając takowy obok powagi, jaką zachowuje arystokracya szwajcarska, dotknięta równie, jak różnogatunkowa arystokracya francuska. Jedna uprawia naukę, druga w pijanym szale pędzi przed siebie z oczami zawiązanemi, w przekonaniu, że w ten spo-

---

[3])

Małżonkowie Mistress Skaggs.

Bret-Harte'a.

A czy niema tam czasem czego dla mnie, pytał w tydzień potem Tom Islington wchodzącego do gospody Billa.

Bill towarzyszącemu sobie mężczyźnie wskazał chłopka.

Nieznajomy jął się badawczo wpatrywać w niego. Tom zmieszany powtórzył pytanie:

— A czy nie macie tam czasem czego dla mnie?

Bill zbliżył się do niego; ujął go za ramiona, okręcił z udaną powagą, rozpromieniony w rzeczy samej, z trudnością powstrzymując cisnący mu się na usta uśmiech,

— Eh — rzekł pomału —jeśli sto tysięcy dolarów gotówką na stół, a pół miliona w perspektywie jest czemś — ano, to może i mam tam coś dla ciebie, kapitanie!

Do charakterystyki Angelu zaliczyć to trzeba, że mniej się dziwiono tajemniczemu zniknięciu Johnsona, i zapisowi uczynionemu na rzecz chłopca, niż temu, że miał stary coś do przekazania w testamencie. Odkrycie pokładów cynobru odwróciło ogólną uwagę od szczegółów Napływali osadnicy; ludność wzrastała; wzgórza dokoła siedziby Johnsona wydzierżawiono; budowano lepianki i domy; handel ożywił się, słowem, że użyję stylu miejscowych dzienników, „nowa powstała era.“ *Przegląd tygodniowy (Weekly Becord)*, dodawał, że w ostatni czwartek pięć tysięcy dolarów zarobiła gospoda „Mansion Hause.“

Los Johnsona nie przedstawiał żadnej wątpliwości. Pasażerowie w dyliżansie z Wingdam widzieli na głazie, zawalającym łożysko potoku, leżącego bez życia człowieka. Finn zaś, z Robinson Ferry, spostrzegłszy coś szamocącego się w wodzie, i biorąc owo coś za kudłacza, trzy razy doń strzelał z rewolweru. Nikomu na myśl nie przyszło, żeby strzały Finna były niecelne; zresztą Johnson posiadał przecie—z rąk napastujących go ludzi wyrwany pistolet; czemuż się nie bronił?

Wszystko to uspakajało niezbyt drażliwe sumienie mieszkańców Angelu. Przyznać też im trzeba, że los Toma nie obudził ani zazdrości, ani niechęci. Większość była zdania, że się Tommy wysługiwał był pijakowi, wpływając na powiększenie jego zysków—czego mu zresztą nie poczytywano bynajmniej za złe, owszem okoliczność ta podnosiła go w oczach ogółu.

— Sprytny!—zauważył patron gospody, Yuba Bill poznał się na nim!

Teraz Yuba Bill zajął się chłopcem ze szczególną pieczołowitością. Uregulował sprawę wspólnictwa i dziedzictwa, a wyprawując malca w świat, po naukę i towarzyską ogładę, sam odwiózł do San-Francisko i odprowadził na pokład parowca.

Tu odwiódł on Toma na bok.

— Słuchaj—mówił surowo — gdy zapotrzebujesz pieniędzy, napisz tylko słówko, ale radzę ci — tu głos surowy zniknął nagle—radzę ci z całego serca, abyś od tej chwili, raz na zawsze, zerwał z tutejszymi łotrami... ze wszystkimi... bez wyjątku... rozumiesz?... A teraz żegnaj, mój mały, bądź zdrów!...

Powiódł dokoła gniewne spojrzenie. Idąc, tłum rozpychał,—jednemu nawymyślał, z drugim się pokłócił, dorożkarza zrzucił bez ceremonii z kozła; pochwycił sam lejce, zaciął konie i jak szalony popędził do hotelu, w którym mieszkał.

— Słono to kosztowało—opowiadał potem—coś około dwudziestu dolarów. Wyobraźcie sobie, kapcan ten pozwał mię do sądu! Musiałem go przecie nauczyć jazdy! W dziesięć niespełna minut, mówię wam, przeleciałem Montgomery-street.

Stopniowo rysy bohaterów cynobrowej groty, zatarły się w pamięci mieszkańców Angelu. W pięć lat potem, nikt już nie pamiętał ich imion, w siedem—zmieniono nazwę miejscowości i samo miasto w innym poczęło się zabudowywać kierunku. Tam, gdzie stała niegdyś lepianka Johnsona, teraz nocą gorzały, w dzień dymiły się kominy fabryki. Nawet Mansion Hause, opuszczone, poszło w zapomnienie. Dyliżanse bliższą znalazły sobie drogę, przez Quick-silver-City. I tylko nagie wierzchołki Deadwood-Hill, jak przedtem, tak i teraz, rysowały się ostro na błękitnym horyzoncie, a u stóp ich, jak dawniej, Sta-

sób zapewnia tryumf idei. Przypuszczać chyba należy, iż sposób ten ma na celu zaszczepienie w łonię rzeczypospolitej jadu demoralizacyi, na wzór i podobieństwo tego, jak Almanzor przyniósł zarazę zdobywcom Alpuhary. Inaczej wytłomaczyć nie można tej polityki wyuzdania, jakiej chwyciły się w czasach ostatnich sfery przez francuskiego „Pankracego“ zdetronizowane. Wątpliwą atoli jest rzeczą, ażali polityka ta rezultaty pożądane sprowadzi. Czy nie zacniej, czy dla samychże sfer owych nie korzystniejby było naśladować arystokracyę szwajcarską?

Może to nastąpi kiedy. Po wyszumieniu się należytem przyjdzie brak środków do szumienia dalszego i brak ów sprowadzi upamiętanie — upamiętanie, skutkiem którego gorliwszych i mocniej przekonanych republikanów nie będzie, jak porujnowani na majątkach i zdrowiu legitymiści, rojaliści i imperyaliści. Rezultatu podobnego spodziewać się można, sądząc o rzeczach po ludzku. Arystokracya francuska sama sobie sporządza głód, który jest środkiem najpewniejszym przy zdobywaniu twierdz, świętej Trójcy zwłaszcza. Z głodu kapitulować będzie, jeżeli — na co się zgoła nie zanosi — respubliki nie zarazi.

Nie masz atoli reguły bez wyjątków. Śród tej, w zbytkowaniu rozszalałej gromady widzieć się zdarza mężów nad pracą pożyteczną schylonych. Do rodzaju postaci takich należy p. Ad. Vuitry, wysoki niegdyś za cesarstwa urzędnik, odsunięty przez rzeczpospolitą od życia publicznego, który nie przestał być przydatnym społeczeństwu członkiem. Życie jego prywatne jest mi nieznanem; nie zdaje się atoli, ażeby brać miał udział w festynach karnawałowych malkontentów, luboć malkontentem być musi, bodaj dlatego, że był jednym z filarów cesarstwa — i to filarów w zakresie bardzo ważnym, bo finansowym. Sądzę o tem wedle owoców pracy jego, które mam przed sobą pod postacią dzieła w dwóch grubych tomach (tom I str. 531, t. II str. 690), p. t. „Studya nad zarządem finansowym Francyi przed rewolucyą r. 1789“ *(Études sur le régime financier de la France avant la révolution de 1789, p. Ad. Vuitry, Paris, Guillaumin et C-ie editeurs, 1883)*. Napisanie dzieła podobnego wymagało dwóch rzeczy: głębokiej znajomości przedmiotu i ogromnej pracy, pracy tego rodzaju, którą pospolicie nazywają benedyktyńską, polegającej na szperaniu w dokumentach, na zestawianiu takowych, porządkowaniu, grupowaniu i wyprowadzaniu z nich konkluzyj ogólnych. A jest to ciąg dalszy. P. Ad. Vuitry w r. 1877 wydał już dwa równej obecnym objętości studya, odnoszące się do pierwotnych zawiązków państwa francuskiego. W pierwszem zajmuje się podatkami, zaprowadzonemi w Galii przez rzymian, a utrzymanemi przez królów francuskich i przeistaczaniem się podatków owych w daniny feudalne; w drugiem — zarządem finansowym monarchii feudalnej, w epoce. poczynającej się od Hugo-Kapeta, a kończącej na Filipie Zuchwałym (1285). Dwa tomy, które w roku bieżącym z pod prasy wyszły, są to dwa nowe, z porządku trzecie i czwarte, studya. Pierwsze z nich obejmuje panowanie Filipa Pięknego i trzech jego synów (1285 — 1328), drugie rządy trzech pierwszych Walezyuszów (1327 — 1380). Za Filipa Pięknego i synów jego system finansowy jest jeszcze całkowicie feudalnym: dochody, jakie korona pobiera, uważają się za dochody osobiste monarchy, płynące ze źródła podwójnego: z ziem, stanowiących własność jego bezpośrednią, i z danin (*redevances*), składanych mu jako hołd przez lenników. Podatki, a raczej kontrybucye, nakładane po największej części dowolnie, nie posiadają zgoła charakteru państwowego; w rozpisywaniu zaś ich jedyną miarę stanowi wytrzymalność majątkowa kontrybuentów. Monarcha bierze, ile brać można, i kiedy się brać da; gdy zaś to nie starczy, wówczas ucieka się do sposobu, który chwilowo potrzebom zaradza, lecz w następstwach swoich sprowadza zamieszanie i trudności bez liku. Sposobem tym jest fałszowanie monety, które za panowania Filipa Pięknego takich doszło rozmiarów, że monarsze temu w kronikach spółczesnych dostał się tytuł „fałszerza monety“ (*faux monnayeur*). Przystępował on do tego z rozwagą i rozmysłem. Ażeby nowa moneta nie sprowadziła wywozu starej za granice kraju, wydał pod zagrożeniem kar najsurowszych odpowiedni zakaz. Był to środek wstępny, z którym łączył się rozkaz składania w skarbcu królewskim wszystkich, jakie kto, nie mający dochodu rocznego 6,000 liwrów, posiadał, naczyń srebrnych i złotych. Naczynia te oddawały się właścicielom pod postacią pieniędzy; że zaś pieniądze były fałszowane, skarbowi królewskiemu dostawał się stąd zarobek pod postacią różnicy, jaka zachodziła pomiędzy próbą metalu a wartością nominalną monety. Skutki fałszerstwa czuć się dały szeroko i nie brakło zabiegów, mających na celu wyjednanie n króla przywrócenia monety rzetelnej. Arcybiskup i duchowieństwo z Rheims ofiarują Filipowi Pięknemu upominek pieniężny—pod warunkiem, ażeby moneta była taką, jak za Ludwika Świętego; pod tymże warunkiem papieże — Benedykt XI i Klemens V — udzielają mu błogosławieństwo wraz z zapomogą pieniężną: król upominki, zapomogi i błogosławieństwa przyjmuje, przyjmuje też warunki, którym uczynić zadość obiecuje; ale fałszowanie monety prowadzi na coraz to większą skalę. Spowodowało to rozruchy w Paryżu; ale je prędko poskromiono i hersztów wywieszano; gdy zaś w końcu okazała się konieczność przywrócenia monety rzetelnej, zarządzono wypędzenie żydów i konfiskatę ich majątków na rzecz skarbu królewskiego, a to w tym celu, ażeby nie ponieść on uszczerbku na obniżeniu kursu pieniędzy, znajdujących się w skrzyniach królewskich. Następnie znów pieniądze fałszowano. Stosunek pomiędzy wartością metalu a odbiciem, głoszącem o wartości sztuki monety, służył za pole do ustawicznych manewrów finansowych, wystawiających na próbę wytrwałość zaufania poddanych względem władzy. Władza atoli posiadała środek skuteczny na przywracanie zaufania, gdy takowe słabło. Środkiem tym była szubienica. Stosownie do stopnia, do jakiego upadek zaufania dochodził, wieszano kilku, kilkunastu niegodziwców i ogół monetę złą przyjmował za dobrą. O! czasy to były dobre!

Autor studyum każde dzieli na rozdziały, rozpatrując szczegółowo: własność korony i jej stopniowy rozrost; dochody króla; dochody nadzwyczajne; pieniądze i zarząd pieniężny; rząd i wydatki; admi-

---

nislaus, tocząc spienione wody, szemrał, huczał i zbiegał ku morzu.

Pierwsze brzaski letniego poranku wychylały się leniwo z wód oceanu. Mgły opadały powoli, w oddaleniu fale zlewały się jeszcze z ciemnemi obłokami, a już pasma różowych promieni, rozpierzchłe po niebie, gasiły pobladłe gwiazdy. Ciemne skały Greyportu, z początku rysujące się niewyraźną gromadą, występowały coraz plastyczniej. Pogasły morskie latarnie, tysiące żagli wyłamało się z mgławych obsłonek. Dzień zajaśniał i pora już była, aby „wielki świat“ pomyślał o spoczynku.

Jutrzenka oblała rumieńcem wspaniały budynek, gdzie przez noc całą jarzące płonęły światła i skąd wybiegały skoczne tony muzyki. Jutrzenka odbiła się, splonionа w szybach pomarańczarni, spłynęła na trawnik, skąd przez noc całą, ku promieniom miesiąca, biły wonie kwiatów, zmieszane z powiewy morskiemi, i wniosła tylko pewne zaburzenie zarówno pomiędzy barwne lampy, obrzeżające werendę, jak w godowe grono stojących na niej pań i panów. Tak szczera i niedyskretną bywa jutrzenka! Gdy królowa balu, miss Gillyflower, wsiadając do pojazdu rzuciła przypadkowo okiem na owalne lustro, wnet pośpieszyła spuścić rolety, opierając o poduszki—najbielsze w Grayport ramiona.

— Jak każdy blado wygląda! — zauważyła Blanche Masterman — czyś nie zmęczona, kochanko?

— I owszem, miss Rose odrzekła — jutrzenka kompromitująca bywa po balu; spojrz na M-rs Brown Robinson.

— Aniołowie,—wtrącił hrabia Nugat—skłaniając się uprzejmie ku obłokom—sami aniołowie nie muszą być zadowoleni z tych porannych. dla tualety niedogodnych kombinacyj świateł.

— Aniołów zbawia biały szat kolor—odrzekła miss Blanche — oprócz wyjątkowej sytuacyi, gdy pozują przed weneckimi mistrzami. Ale pan M. Islington, pan istotnie wygląda tak, jak gdyby się dopiero przebudził. To nas zawstydza!

— Dowodzi to tylko, że jutrzenka nie widzi we mnie niebezpiecznego współzawodnika — odrzekł zamyślony młodzieniec—zresztą oswojony jestem z dziennym brzaskiem, i wogóle nie wiele snu potrzebuję.

— Jakże rozkosznemi musiały być te poranki—wtrąciła M-rs Brown Robinson, stłumionym, wzruszonym głosem, utrzymując niebezpieczną równowagę pomiędzy naiwnością szesnastoletniego dziewczęcia a doświadczeniem dwudziestodwuletniej mężatki — jakże rozkosznemi być musiały w malowniczych okolicach, w których M. Islington przebywał. Zazdroszczę panu doprawdy. Od siostrzeńca mego a pańskiego kolegi w szkołach, słyszałam o tem wiele, wiele... Jakże się panu mdłym, nudnym wydawać musi ten nasz świat modny, to sztuczne życie...

Tu głos do poufnych zniżając szeptów, dodała:—Niech nam pan opowie o pustyni, o indyanach, o żubrach, o niedźwiedziach.. Wszak widziałeś pan żubry i niedźwiedzie?

— Naturalnie, że widział! — przerwała z pewną żywością Miss Blanche, naciągając narzutkę na ramiona — naturalnie!—Wiadomą jest rzeczą że go żubry ukołysały a niedźwiedzie dzieliły z nim pacholęce igraszki. Jedźmy kochanko!—w drodze opowie on ci to wszystko.

— Szczęśliwie—doprawdy!—dodała *sotto voce*, pochylając się ku stojącemu przy portyerze karety młodzieńcowi — żeś pan nakształt leśnych swych niegdyś towarzyszów, nie świadom swej siły... Czegóżbyś w nas *łatwowierne* nie potrafił *wmówić*! Ah! pan woli wracać pieszo? Do widzenia zatem! — i szczupła, w obcisłej rękawiczce rączka wysunęła się z karety.

— Nie skorzystał ze zręczności, a zręczność dobra była! — zauważył kapitan Merwin.

— Może chciał uniknąć dodatkowego towarzystwa mej ciotuni, — odrzekł inny młodzieniec.—Kto gości zresztą u ojca Miss Blanche, widywać ją może codziennie.

— Równie przyjemne, jak niebezpieczne położenie.

— Dla niego chyba, chociaż zimny to, stary facetus. Dla niej cóż znaczy jeden więcej czciciel—w tym tłumie, śród którego obraca się na obu półkulach! Patrz, wszak pobity i Nugat.

Czy słyszał rozmowę tę Islington, nie wiem. Obojętnie przeprowadziwszy spojrzeniem odjeżdżającą karetę, zwrócił się na wiodącą brzegiem morza ścieżkę, przez piaski, ku skałom. Gdy po drodze napoty-

nistracyę finansów. W przeglądzie tym uwydatniono przedewszystkiem kształtowanie się stopniowe państwa, pod względem mianowicie form wewnętrznych, ustalających się i wyróżniających pod wpływem i naciskiem okoliczności. W wieku XIII Francya grupowała się, i jeszcze trudno było przewidywać, jak stanie. Zachodziła wątpliwość, nawet co do środka ciężkości; a można było mniemać, że w tych granicach, w których ją dziś widzimy, utrzyma się państw kilka, jedno od drugiego niezależnych. Pomiędzy czynnikami, które na rozwój państwowy Francyi wpływ wywarły, finanse odegrały rolę bardzo ważną — pod tym zwłaszcza względem, iż królom francuskim zapewniały życzliwość panów feudalnych, którzy zawisły od nich bezpośrednio lud ze skóry obdzierali. Ludność nieuprzywilejowana, od nich bezpośrednio zależna, zostawała pod zwierzchniczą, choć nominalną tylko, opieką królów. Zwierzchnictwo to służyło w każdym razie za jedyną przed zdzierstwem ucieczkę. Na stosunku bezpośredniości do pośredniości opierać się dawała czynność korony, mająca na celu chełznanie samowoli panów feudalnych i strącanie ich, jednego po drugim, ze stanowisk niezależnych. W ten sposób państwo się rozszerzało, wzmacniało i utrwalało, a zarząd finansowy zmieniał stopniowo charakter pierwotny i stawał się coraz to wyraźniej państwowym, publicznym. Nastąpiło zaprowadzenie systemu podatkowego, które pociągnęło za sobą potrzebę ze strony władzy najwyższej — zdawania sprawy z zarządu grosza publicznego. Skarb się rozdzielił na skarb królewski osobisty i na skarb narodowy, który nad pierwszym przewagę wziął i powołał do rzeczywistszego, niż dotychczas życia reprezentacyę narodową, zwaną to stanami, to parlamentem. Jedno się z drugiem wiązało; jedno z drugiego wypływało. System podatkowy, zaprowadzenie którego, wbrew woli narodu, było spotęgowaniem i tryumfem władzy monarszej, stał się następnie jednym z powodów osłabienia jej i upadku.

Pan Ad. Vuitry, studyując kwestyę tę i wykazując znaczenie jej w rozwoju polityczno-społecznym, wielką zdaniem naszem, oddaje narodowi swemu przysługę. Kwestya ta jest obecnie na czasie. We Francyi, obok innych reform, domaga się przekształcenia wielce skomplikowana i do rozwiązania trudna kwestya finansów publicznych. Rozjaśnienie jej jest ułatwieniem rozwiązania. Bonapartysta ten przeto przydatniejszym jest, jako obywatel, aniżeli nawet nie jeden z republikanów, wysilających dowcip cały na to głównie, ażeby... kolory zmienić. Przydatność obywatelska nie od barw zależy.

T. T. Jeż.

OSTATNI GŁOS DORADCZY

w sprawie pisowni polskiej.

Od r. 1814, a więc od siedemdziesięciu lat blisko, kwestya pisowni polskiej nie schodzi prawie ze stołu obrad publicznych. Jestto konik, na którym jeżdżą uczeni i prostacy— czerwoni i biali, krańcowi i umiarkowani reformatorowie. Pośród codziennego swaru niezgodnych w tym chórze tonów — odróżnić można kiedy-niekiedy, osnute na wiedzy, a będące świadomym wyrazem woli społecznej, rozumne do harmonii dążenie; szuka ono zwykle punktu oparcia w jakiejś poważnej instytucyi naukowej — warszawskiej (1830), poznańskiej (ok. 1868) lub krakowskiej (1881), aby pod jej egidą wpłynąć na decyzyę ogółu i system ortografii naszej dla kilku przynajmniej pokoleń ustalić. Dwa lata temu grono literatów i pedagogów, zogniskowane około osoby redaktora *Biblioteki Warszawskiej*, zakołatało do *Akademii Umiejętności*, przedstawiając jej projekt, w elaboracie p. A. A. Kryńskiego. Dano już... obietnicę odpowiedzi: czekamy, co powie wyrocznia narodowa — a tymczasem pośród gwarnego wiecu piszącej i nauczającej braci — prawica zachowawcza z lewicą reformatorską się ściera.

Mamy właśnie pod ręką jeden z wydatniejszych tej walki przejawów — głos p. Karłowicza *), wytrawnego lingwisty, zgodny niejednokrotnie w sferze teoryi z poglądami Kryńskiego, ale na drodze praktycznej tak odrębny, że go wprost przeciwbiegunowym nazwać można. „Historya usiłowań“ reformatorskich na danem polu „przekonywa (zdaniem autora), iż tem się one okazują skuteczniejszemi, im więcej są *zachowawczemi*, to jest im mniej nowych form i prawideł narzucają ogółowi, im więcej korzystają z nagromadzonego już zasobu, im mniej zrywają z dotychczasowemi nawyknieniami i nałogami...“ „Powinniśmy więc przeważnie trzymać się drogi *zachowawczej*...“ „Jeżeli w poglądzie na język, jego słownik i gramatykę, godzimy się na twierdzenie, iż jest on czemś *danem*, jako materyał do badania, ale nie do przerabiania lub odbudowywania według jakichś form idealnych, to winniśmy uznać, że i grafika i pisownia są także czemś *danem*...“ „Nauka, uznając *prawowitość i nietykalność* ewolucyi językowej, musi uznawać *prawowitość i nietykalność* ewolucyi pisowniowej.“ W powyżej przytoczonych zdaniach tkwi, bez zaprzeczenia, dość jasno sformułowany punkt wyjścia. Zgadzamy się na to, iż czysto naukowem stanowiskiem w sprawie ustalenia pisowni jest *zachowawczość*;“ ale fakty, zjawiska *powszechnie* uznane — nie mogą stać na równi z prowincyonalnemi, wyjątkowemi, indywidualnemi; narzucone i przypadkowo, że tak rzekę, na obliczu mowy leżące — z naturalnemi; trudno też niejednokrotnie sprawdzić istnienie danej właściwości języka, tak, iżby ona dla wszystkich była oczywistą. Na tych to rozstajach rozchodzą się ze sobą uczeni. Dla jednych różnica między końcówkami narzędnika i miejscownika *ym—ém (em)* przechowuje się sztucznie, dzięki niewdzięcznym wysiłkom nauczycieli; dla innych jest ona cennym dorobkiem, „owocem walki analogizmu z normami etymologicznemi i fonetycznemi;“ jedni czują w wymawianiu jotę (j) przed samogłoską *i*, drudzy uważają to za złudzenie; tam — na podstawie analogii, z konserwatyzmem językowym zgodnej, dąży ktoś do uzasadnienia przybranki *s* w partykułach *stąd, skąd*, tu znowu — na tym samym gruncie, pod temże hasłem, spółzawodniczka—z (ztąd) uroczyste otrzymuje poświęcenie. To też między uwagami

*) *W sprawie pisowni polskiej i wiążących się z nią zagadnień gramatycznych — głos Jana Karłowicza* — Kraków, 1883.

---

kał przeszkodę w postaci zwykłej zawady, przeskakiwał ją, nie zwracając uwagi na podziw, jaki balowy jego ubiór i zwinność budziły w groomach, czyszczących stajnie i dziewkach myjących wschody, ku morzu zwróconych werand. Dopiero gdy wchodził w obręb Cliffwood-Lodge, rezydencyi Masterman'a, zdało mu się, że jakiś biedak śledzi za nim oczyma. Lecz nieschludna postać odartusa znikła w krzakach, a Islington skierował swe kroki przez park, ku wzniesionej nad urwistym brzegiem morza, altanie.

Do koła panował uroczysty spokój. Żaden szmer nie przerywał ciszy, oprócz pluskania fali o skał podnóża. Na bezbrzeżnej przestrzeni—wody jak do snu się kołysały. W powietrzu rozproszona, mgła lekka pochłaniała promienie słońca, przyćmiewając ich blaski. W błogiej ciszy i spokoju zdawało się Islingtonowi, jakoby wszystkie wdzięki i ponęty życia zbiegły się u tych szczęśliwych wybrzeży. Patrząc na ocean rozkoszny, spokojny, przypomniał sobie urwiste spady, któremi zmącony Stanislaus, spływał pośród jodeł ciemnych, u stóp Deadwood-Hillu. Wspomnienie to podniosło jeszcze urok—otaczającego młodzieńca krajobrazu. Odwrócił głowę — nieopodal ujrzał wysmukłą postać niewieścią. Była to Blanche Masterman.

Po drodze zerwała szeroki liść, którym od promieni słońca zasłaniała blond włosy i siwe swe oczy. Balowy, powłóczysty ubiór zastąpiła ranna, wąska, wytworne i szczupłe jej kształty doskonale rysująca suknia. Gdy Islington powstał, zbliżyła się do niego śmiało, swobodnie wyciągając rękę. Czy wiedziała, że go tu spotka? Niewiem.

Usiedli obok siebie. Ona twarzą odwracała się co chwila ku morzu, zielonym liściem oddalając od siebie natrętne promienie słońca i.... spojrzeń młodzieńca.

Nie wiem doprawdy—Islington począł—jak długo marzyłem tu dopiero w półśnie, w pół-czuwaniu. Ranek prześliczny—spać mi się niechciało... A pani?

Z pod liścia wyszła opowieść o ćmie jakiejś potwornej, co wpadła do pokoju dziewczęcia i ustąpić nie chciała, mimo połączonych starań pięknej mieszkanki i jej panny służebnej, — potem o szpicu, Odynie, co się do drzwi skrobał. Zresztą sen poranny nie krzepi, oczy tylko zaczerwienia. Miss Blanche miała ranną do złożenia wizytę, morze—wyglądało tak ponętnie...

— Mniejsza o to—rzekł Islington — co panią tu sprowadza: widzę ją i cieszę się niewymownie. Dziś opuszczam Greyport— i wolę pożegnać panią tu, pod tą błękitną kopułą nieba, niż tam, pod freskami sufitów salonu...

— Wiem — odrzekła niezmieszana bynajmniej Miss Blanche, że domy nasze i salony należą do najsłabszych stron cywilizacyi; lecz nie zdarzyło mi się nigdy słyszeć zdania, któreby tak wytwornie myśl tę wyrażało. Dokąd pan jedzie?

— Niewiem na pewno. Projektów mam kilka. Pojadę może do Ameryki południowej, gdzie zostanę prezydentem rzeczypospolitej jakiej, gdyż, po za Greyportem, każdy w Ameryce, chociażby był Krezusem, pracować koniecznie musi. Wprawdzie przyjaciele moi sądzą, że fundusz, jaki posiadam, powinien przykuć mię do miejsca; lecz jam z rodu włóczęgów i włóczęgą zapewne pozostanę do śmierci.

— Nie mam znajomych na południu— szczebiotała Miss Blanche. W zeszłym roku były tam dwie moje koleżanki — wytrzymać nie mogły! Wyobraź pan sobie, nie mogły mieć dobrze wyprasowanych spodniczek!... Pan do mnie stamtąd... napisze?

— Nieomieszkam. Niech mi pani powie jak się nazywa ten kwiat? Zerwałem go w oranżeryi, gdyż przypomniał mi florę kalifornijską.

— Być może, iż stamtąd pochodzi; ojciec, pamiętam, nabył roślinę od jakiegoś obdartusa—czy go pan nie zna czasem?

Islington roześmiał się.

— Zdaje mi się, że nie mam zaszczytu. Pani pozwoli?...

— Dziękuję panu! Niech mi pan przypomni, abym mu wzamian kwiat dała... na odjezdne...

Powstali.

— Do widzenia.

Biała i świeża, jak śniegu płatek, rączka, przez chwilę w jego spoczęła dłoni.

— Liść ten tak zazdrośnie twarz pani kryje! Zrób mi łaskę—uchyl go cokolwiek.

— Niepodobna. Oczy mam, mówię panu, czerwone, wyglądam okropnie...

Mimo to, rączka, w zazdrosny liść uzbrojona, uchyliła się nieco i z pod zaimpro-

Kryńskiego a poglądem p. Karłowicza ta głównie zachodzi różnica, że gdy pierwszy jest konserwatystą, przywiązanym do ocalałych zabytków zdrowszej przeszłości, wiernie, chociaż zbyt może pedantycznie pragnącym w piśmie odzwierciedlić oblicze żywego języka; drugi, z rószczką oliwną w ręku, stara się uzasadnić istnienie nowotworów i za *najłagodniejszą postacią reformy* (czy za *status quo?*) głosuje.

Niepodobna brać za złe p. Karłowiczowi, że opierając się na zwyczaju przeważnym, usuwa z drogi to, co w mowie naszej żyć przestało lub za chwilę skona: *é* pochylone jest rzeczywiście dźwiękiem zamierającym; o jego istnieniu dowiedzieć się można tylko z mowy ludu lub rozpraw i spisów gramatycznych. Słusznie więc radzi zaniedbywać kreskowanie tej litery. Dźwięku *ó*, jako odrębnego od *u*, nie uznaje. Sądzę, że się nie myli; któż-bo z nas posiada zmysł do wymawiania *ó*; kto uwierzy p. Kryńskiemu, że głoska ta przejściowa „w mowie ogółu *bardzo wyraźnie* jest słyszana!..“ W piśmie, ze względu na ortografię etymologiczną, oznaczać ją zapewne musimy; ale jako dźwięk charakterystyczny, należy już ona do wspomnień zgasłej przeszłości. Równie może oczywistym faktem jest jota, przed samogłoską *i* wszędzie wymawiana; co nam wszelako nie przeszkadza używać uproszczonej pisowni wyrazów (np. *inny, przeistoczyć*—zam, *jinny przejistoczyć*). Ale to znowu z mniemaniem p. Karłowicza się nie zgadza. Według niego, „osoby, utrzymujące, że słyszą *j* przed *i* w nagłosie i wgłosie, ulegają, pod wpływem teoryi, pewnemu złudzeniu słuchowemu, biorąc przydech lekki (spiritus lenis) za jotę...“ Argumentacya autora w danym przedmiocie miałaby może istotną wartość, zwłaszcza ze względu na wykrycie stosunku, jaki między przygłosem (akcentem) a sposobem wymawiania samogłoski *i* zachodzi, gdyby na str. 18 nie zabłądził on w sferę litewskich prowincyonalizmów, czy gwary dziecinnej (*źnim, zieść*=zjeść), wbrew ogólnikowi, wyrzeczonemu na str. 6: „ustalając pisownię, powinniśmy mieć na baczeniu wymawianie i ortografię dość szczupłej garstki t. z. inteligencyi naszej, bo inaczej zerwiemy z tą mową, którąby można nazwać *wulgatą języka polskiego*.“

Do słabszych, jak się zdaje, miejsc rozprawy należą §§: 16, 20, znaczna część 21-go, drugi punkt 29-go, 33 i 36.

Nie pojmujemy np., na jakiej zasadzie praktycznej wyłączył lingwista z grona form pokrewnych — czwarte przypadki l. p. zaimków—*tę, onę*, jako wyjątkowo końcówkę *ę* przyjmujące, a zapomniał o bierniku *tamtę*, który w mowie przeważnego liczbą ogółu częściej się pojawia, niż *onę*; wątpliwą też wartość ma wzmianka, zaręczająca, iż w bierniku l. p. z pomiędzy rzeczowników żeńskich na *i* — tylko wyraz *pani* — *panią* „w ustach *wszystkich* zachował *ą*.“ W § 21 natrafia czytelnik na dość zagadkowe dowodzenie: „Czy mamy pisać przyimek *z*, stojący oddzielnie, przez *s* przed brzmieniami cichemi? Mnie się zdaje, że lepiej *z*, a to z tego powodu, iż *w poczuciu powszechnem* *z* zyskało przewagę nad *s*. *dowodem tego* jest brzmienie głośne przed samogłoskami oraz przed spółgłoskami, np. *zorać, z owsem*... itd.“ Mógł autor głosować za upodobaną pisownią, odwołując się do panującego zwyczaju, nie zaś do „poczucia powszechnego,“ a raczej słuchu, który świadczy, iż w wyrażeniu *z tobą* jest fonetyczne *s*; dowodów też na to niewypadało, jak sądzę, szukać w sąsiednim powiecie danej sfery: gdyż w słowie *zorać* przybranka, oparta o półgłos ъ, zgodnie z duchem naszego języka, musi brzmieć, jak *z*. Co się zaś tyczy różnic pomiędzy odcieniami przyimka (=*ex, de, cum*), to nie mogą już one, jak mniemam wywierać żadnego wpływu ani na wymawianie, ani na ortografię odpowiednich wyrazów.

Obrona pisowni *Słownika Wileńskiego* (*opinja, oracja, Irlandja*), mianowicie punkt jej 5, należy w gruncie rzeczy do najstaranniej opracowanych artykułów, chociaż dowody, do jakich się autor ucieka, zbyt jawnie zdradzają słabe strony przedmiotu. Pisownia ta w świecie naukowym nie ma dziś podobno przed sobą wielkich widoków powodzenia; ale z czasem, kto wie, gdy stenografią więcej, niż ortografią zajmować się będziem, odniesie może tryumf nad innemi...

Z całego toku pracy p. Karłowicza widać, że jest on w danej sferze —świadomym rzeczy optymistą („sprawa pisowni naszej stoi *nie źle... bardzo dobrze*“— str. 8); radzi też nie śpieszyć się Akademii z ogłoszeniem ostatecznych uchwał, owszem — „odłożyć je na *dwa lata*“ (?), a tymczasem prowadzić dyskusyę publiczną i sporządzać dokładne spisy (np. wyrazów z *ó*, „nazw gieograficznych i plemiennych, z dodaniem form pochodnych, tj. rzeczowników i przymiotników etc.“); z pomiędzy t. z. „nowości“—akceptuje *gie* zam. *ge*—nawet w takich wyrazach, jak *Gienua* i *Gienewa*, oraz jednostajne dla przymiotników w 6 prz. l. m. zak. *emi*; cały wreszcie splot najpospolitszych nawyknień bieżącej doby przyjmuje i (o ile to być może) uzasadnia.

A. G. B.

Prawa fabryczne

i położenie robotników w zachodniej Europie.

III.

Według ustawy fabrycznej, dzieci przed dwunastym rokiem życia nie powinny być przyjmowane do dłuższej, ciągłej, regularnej pracy; pacholęta dwunasto- lub trzynastoletnie mogą pracować tylko 6 godzin dziennie, prócz obowiązkowej, najmniej trzygodzinnej nauki w szkole. Młodzież wreszcie — od 14-go do 16-go roku życia nie może pracować dłużej nad 10 godzin. Tymczasem według sprawozdań inspektorskich „siła robocza małoletnich w rozmaitych zakładach wyzyskiwaną bywa oddawna, bez żadnej za to odpowiedzialności. Pod groźbą bowiem natychmiastowego wydalenia zwierzchnicy zmuszają dzieci do okłamywania wizytujących urzędników“ *). „W wielu miejscowościach młodzież pracuje na równi z dorosłymi“ **). „Niechęć przeciw prawnemu ograniczeniu czasu ro-

*) *Düsseldorfer Bericht*, str. 160. Podobnież *Arnsberger Bericht*, str. 154.

**) *Münden- und Münster Bericht*, str. 142.

---

wizowanego wachlarza wybłysło spojrzenie pięknych, błyszczących i nieco figlarnych oczu. Islington, olśniony, wzrok spuścił ku ziemi,—gdy wzniósł,... ptaszek uleciał.

— M-r Hislington!—wołał, biegnąc szybko, groom Anglik. Z przeproszeniem pana!—sądziłem, że pan sam... Jakaś osoba...

— Do pioruna! — krzyknął niecierpliwie Islington. O co idzie? — mów prędzej! Nie umiesz po angielsku, co?

— Z przeproszeniem pana, M-r Hislington,—bełkotał przestraszony groom — ale ta osoba... osoba ta, sam nie wiem, ale jakoś nie wygląda na gościa... Pytał o pana, musiałem wprowadzić do biblioteki...

Pomimo tęsknoty, co go była nagle przed chwilą opanowała, Islington roześmiał się, a idąc pytał służącego:

— Cóż to za osoba taka, co nie wygląda na gościa?

— Z przeproszeniem pana, M-r Hislington—właśnie siedziałem u bramy... Nadchodzi: „weź to w łapę“—mówi. Sądziłem, że chce spytać o drogę, a on już na dziedzińcu i o pana, M-r Hislington, pyta.

Islington szybko przeszedł galeryę i otworzył drzwi do biblioteki.

Na środku pokoju, w fotelu, siedział mężczyzna, zapatrzony w olbrzymi, słomiany kapelusz, o dużem sztywnem rondzie. Ręce wsparł na kolanach, nogę założył na nogę... Islington, spostrzegłszy go, rzucił się naprzód, obie wyciągając ręce.

— Yuba Bill!

Yuba porwał się z krzesła, schwycił młodzieńca za oba ramiona, okręcił go, niby wielkolud małe pacholę, uniósł niemal w powietrzu, i ściskając wyciągnięte do siebie dłonie, roześmiał się głośno.

— Jednakżeś mię poznał, kochany kapitanie!

Islington, widząc, że się Yuba Bill uważa za zmienionego do niepoznania, utrzymywał, że go ostrzegło przeczucie...

Yuba Bill oddalił go od siebie i trzymając za klapę od fraka, jął mu się przypatrywać:

— Fiu! fiu! kapitanie! awansowaliśmy, nie ma co mówić... Pamiętasz — ot taki byłeś, od ziemi to ledwie odrosło... Biczem ci groziłem... Zaledwie to koszulinę miało na plecach, a teraz...

Dreszcze przebiegły Islingtona. Wszak był dotąd w balowem ubraniu — a słońce świeciło wysoko.

— A teraz—grzmiał mrukliwy głos Billa—patrzcie go, jaki francik, prosto od fryzyera, jak z igły zdjęty, albo jak, nie przymierzając, fagas w traktyerni. Hej! Alfons! porcyę pasztetu!

— Poczciwy stary—śmiał się Islington, lecz przypatrzywszy się przybyłemu, spoważniał, zaniepokoił się.

— Co ci to przyjacielu? — czyś czasem nie chory? zmieniony jesteś...

Zmieniony był istotnie, blady — włosy przypruszyły gęste, srebrne szrony.

— Nic mi nie jest—Bill się tłomaczył—to może chomąto tak mię zmienia, a może ta „gwiazda zaranna...?“

Mówiąc to, śmiał się z przymusem, wskazując spadający na kamizelkę złoty łańcuch i w krawat wpiętą szpilkę brylantową.

Lecz Islington trwał przy swojem zdaniu.

— Masz mi coś do powiedzenia, stary?

„Stary“ miął nerwowo w palcach brzegi swego kapelusza.

— Słuchaj, przyjacielu,—ciągnął ze stanowczością Islington, znam cię nadto dobrze—nie jechałbyś o trzy tysiące mil bez interesu. Mów, o co ci idzie?

— Nikt tu nam nie przeszkodzi — sami jesteśmy — dodał, zwracając uwagę na niespokojne spojrzenie, jakie gość rzucał dokoła.

Yuba Bill przysunął się bliżej.

— Pierwsze — począł głos zniżając— pierwsze pytanie Tommy... ale odpowiedz szczerze...

— Cóż dalej?

— Pierwsze pytanie: Jeślibym ci powiedział—ot tak naprzykład: Tommy—potrzeba, abyś odjechał, opuścił to miejsce na miesiąc... na rok, może na dwa lata... a może na zawsze. I cóż, chłopcze kochany, czy cię tu... nie zatrzymuje nic? Coś tak, nakształt tego... wiesz przecie, co?

— Gościem tu jestem — odrzekł Islington spokojnie—dziś właśnie odjechać zamierzałem.

— Hm! wybornie! Więc gdybym ci tak naprzykład zaproponował przejażdżkę małą, ot tak—do Chin naprzykład, do Japonii, albo na południe..., zgodziłbyś się, co?

— Najchętniej...

— Nic cię tu zatem naprawdę nie zatrzymuje, nic? — jakby to wyrazić... tego, owego... rozumiesz mię przecie? Bo to wi-

boczego małoletnich — tak ze strony pracodawców, jakoteż ze strony robotników(?), jeszcze nie ustalą; pracodawcy zaś dlatego tylko się uspokoili, że przekonali się, jak łatwo można obejść postanowienia prawne, dopóki kontrola miejscowych władz policyjnych nie zacznie surowiej rządzić“ *).

Rozpowszechnianie się maszyn zwiększało stopniowo ilość małoletnich robotników. Od r. 1850 do 1875 wzrosła ona o 9½%; podczas gdy liczba starszych pacholąt — od 13 do 18 roku życia — spadła o 2%, a dorosłych o 3½%. W fabrykach szczególniej bawełnianych stosunek wzrostu ilości małoletnich robotników do liczby wrzecion i krosien jest zadziwiający. Gdy bowiem ilość wrzecion pomnożyła się tu o 48⁴/₇%, krosien — o 85½%, gromada dzieci pracujących wzrosła o 346²/₇%; liczba natomiast robotników, od 13 do 18 lat życia —spadła o 6½%, a starszych (od 18 do 25 lat) — o 21½% **).

W 1875 r. statystyka urzędowa liczyła 88,000 małoletnich robotników, z których 24% należało do kategoryi pacholąt—między 12 a 14 rokiem życia.

Praca dzieci bywa w wielu fabrykach nadmiernie wyzyskiwaną, a złe powietrze i liche pożywienie czyni je zazwyczaj ofiarami suchot ***).

Kobiet, zajętych pracą w główniejszych gałęziach przemysłu, starszych nad lat 16, było według statystyki z 1875 r. — około 226,000: pośród tego zastępu — 24% liczyło 16 do 18; 42% — 18 do 25 i 34% — przeszło 25 lat życia. Ilość zamężnych robotnic wynosiła 24%. Przeważna część tej gromady (128,500) pracowała w dziale tkackim, przemysł tytuniowy zatrudniał 34,000 robotnic. W stosunku do ogólnej cyfry—robotnice stanowią 28%, robotnicy 72% (556,500). W Bawaryi i Würtembergu ilość pracujących kobiet i mężczyzn jest prawie jednakową; w Baden — po stronie robotnic zanotowano liczebną przewyżkę 10%; w Prusach natomiast, w Hessen i Saksonii skonstatowano śród fabrycznego ruchu — większość męskiego pogłowia *).

W przemyśle tkackim, gdzie praca kobiet i dzieci najwięcej znajduje popytu, dzień roboczy trwa często 13, niekiedy jednak do 16 nawet godzin dochodzi. Płaca tygodniowa robotnicy w pewnych miejscowościach Prus wynosi przeciętnie 3 marki i 80 fen., spada wszakże nieraz do 1 m. 80 fen. **). Tkacz w Saksonii zarabia dziennie 75, 80, 85 fen., najwyżej —1 markę. Pracownicy otrzymują często robotę pośrednio, od faktora, nie wiedząc zupełnie, na jaką on płacę z przedsiębiorcą się ugodził; podwójnie więc są wyzyskiwani. Brak zajęcia w fabrykach sprowadza często kilkotygodniową przerwę w życiu czynnem robotnika, a wtedy rodzina jego po 3, 4 dni—suchego chleba nawet nie widzi: kartofle i cykorya stanowią jedyne wtedy pożywienie biedaków. To też tyfus głodowy i febra nerwowa częstemi są w tych stronach gośćmi. Zarządy gminne—dla braku odpowiednich funduszów—nie mogą zazwyczaj pomódz nieszczęśliwym; większość bowiem ludności w wielu okręgach z samych tkaczów się składa ***).

W innych gałęziach przemysłu widzimy prawie to samo. Ludność gmin wiejskich, leżących na wzgórzu, zwanem „wysoki Taunus,“ zajmuje się przeważnie wyrabianiem gwoździ. Warsztaty, według opisu G. Schnapper-Arndta ****), mieszczą się niekiedy w oddzielnych chatach; zazwyczaj wszakże w parterowej części domów. Podłogi tam wcale niema, a deski, rozkładane w porze deszczowej, nie wiele pomagają. Za trzynastogodzinną pracę otrzymują robotnicy 1 markę i 10 fenigów. Kobiety i dzieci trudnią się wyrabianiem siatek; dorosłym przynosi to zajęcie 50 do 55, pacholętom — 12 do 15 fenigów dziennie. W Arnoldsheim — 540 osób (blisko 80%) sypia w lokalach jednopokojowych; 146 z pomiędzy nich mieści się nieco wygodniej, bo mniej, niż po pięcioro ludzi w izdebce — podczas gdy pozostała rzesza (304) po 6, 7, 8 i 10 osób jedną klatkę zalega. Nikt się tam nie dziwi, gdy troje dzieci, nawet troje dorosłych osób płci obojej — jedno dzielą łoże. Ciężko chory leży częstokroć obok zdrowego, a umarły pozostawiany bywa na całe trzy dni — w izbie, przepełnionej ludźmi.

Nie większe uwzględnienie zyskują warunki hygieniczne w fabrykach cygar. W małych pokoikach — 7 do 8 metrów kwadr. rozmiaru — pracuje po 7 i 8 osób. Przeważna liczba robotnic (w Iglau np., według Kostiala — 70%) ulega rozlicznym cierpieniom nerwowym. Dzieci, ssące pierś chorych matek, znaczną wykazują śmiertelność, o 20% większą, niż gdyby je karmiły obce kobiety. Przeciętny wiek fabrykantów cygar we Wrocławiu wynosi 32 lat tylko ***). Dodawszy do tego sposób wypłaty, „Truck-system“ zwany, będziemy w stanie utworzyć sobie słabe dopiero wyobrażenie o tem, jak żyją pracownicy drobnego przemysłu.

„Truck-system“ zakazany jest w Niemczech, paragrafem 115-tym ustawy przemysłowej, i na zasadzie § 146 tejże ustawy — karany jest grzywną do wysokości 2000 marek lub 6-miesięcznem więzieniem. W pewnej fabryce, w Meklenburg-Schwerin, dzieci pracujące otrzymują swój zarobek tygodniowy w cygarach, które częściowo wypalają ****). W okolicach dolnego Renu robotnicy *chodzą w jedwabiach* (które otrzymują, zamiast pieniędzy); gdyż nie mogą ich sprzedać *****).

*) *Oberpfalz-Bericht*, str. 288.

**) *Die Frauen- und Kinderarbeit vor dem deutschen Reichstag.* Mowy J. Mottelera w d. 8 i 9 maja 1878, Lipsk.

***) August Bebel. *Wie unsere Weber leben.* Lipsk, 1880.

*) G. Fr. Kolb. *Handbuch der vergleichenden Statistik.* Lipsk 1879, str. 23.

**) Dr. W. Stieda, *Deutschlands social-statistische Erhebungen im Jahre* 1876.

***) August Bebel. *Wie unsere Weber leben.* Lipsk. 1886.

****) G. Schnapper-Arndt. *Fünf Dorfgemeinden auf dem hohen Taunus.* (*Eine social-statistische Untersuchnng über Kleinbauerthum, Hausindustrie u. Volksleben*). Lipsk, 1883, str. 72, 119.

*) Dr. med. M Popper. *Lehrbuch der Arbeiterkrankheiten und Gewerbehygiene.* Stuttgart, 1882, str. 42.

**) *Arbeiterfreund.* Berlin, 1882, XX. VI zeszyt. str. 485.

***) Alphons Thun. *Industrie am Nieder-Rhein.*

---

widzisz, mój chłopcze, djabelnie przystojne tu te bestyjki... Och! co tam mówić — człowiek—czy młody, czy stary—łatwo wpada w te sidła... Żadna?

W goryczy, towarzyszącej ostatnim słowom, Bill nie zauważył rumieńca, co zakwitł na twarzy Islingtona.

— Żadna—z cicha wprawdzie, lecz dość stanowczo odrzekł,

Więc powiem ci wszystko. Lat siedem temu — byłem na trakcie Gold Hill. Stoję raz sobie na progu gospody, aż tu podchodzi szeryf. Bill — mówi — złapałem ptaszka, waryat, kompletny waryat, umieścić go trzeba w szpitalu w Stacton; cichy on wprawdzie, nieszkodliwy, ale pasażerowie nie chcą go mieć z sobą w dyliżansie—weź go, Bill, na kozieł. Zgoda, mówię. Cóż powiesz, kto był ów cichy, nieszkodliwy waryat? Kto? Johnson we własnej osobie!

— Nie poznał mię — ciągnął Yuba Bill, ciężką rękę opuszczając na ramię z natężoną uwagą słuchającego młodziana — zapomniał o tobie, Tommy, o Angel, o cynobrowej grocie, o wszystkiem, o własnem nawet imieniu: pomyśl, nazywał siebie Skaggs — a wiedziałem przecie, że to nie Skaggs jakiś, ale Johnson, stary moczywąs z Angel...

Chwilę Yuba Bill milczał, a potem rzekł ciszej:

— Był taki czas, Tommy, że mógłbyś mię piórkiem z kozła strącić; był taki czas, że gdyby dyliżans z dwudziestu siedmiu pasażerami pływał w potoku, o pięć tysięcy stóp poniżej gościńca, nie umiałbym dopravdy zdać sprawy towarzystwu z tego, jak to się stało! Był czas..., ale do rzeczy! Szeryf mówił mi tedy, że Johnsona przed trzema laty znaleziono w Murphy Camp, odartego, zmokłego, dotkniętego zapaleniem mózgu. Zaopiekowano się nim, jak przystoi. Powiedziałem szeryfowi, jak się nazywa i że go znam oddawna; wziąłem na swą odpowiedzialność, powiozłem do Frisko, oddałem w ręce najlepszych lekarzy, dostarczałem wszystkiego, na niczem mu nie zbywało, Tommy, na niczem... Czemuż się patrzysz na mnie tak dziko, chłopcze! Na miłość Boga, nie patrz tak!

— O Bill — wybuchnął powstając Islington — czemużeś ukrywał to przedemną?

— Czemu — oburzył się Bill — czemu? Temu, żem jeszcze, Bogu dzięki, nie oszalał do reszty, temu, żeś był w szkołach, żeś się uczył, torował sobie drogę do życia... A on — cóż? Pijak stary, waryat, tak już, jak umarły — szkoda tylko, że wcześniej nie umarł. Oh, Tommy—tyś go zawsze lubił... bardziej, niż mnie.

— Przebacz mi — zawołał, dotknięty gorzką wymówką młodzian. Wszystko, coś zrobił, dobrześ zrobił... Cóż dalej, mów!

— Niewiele zostało już do powiedzenia—odrzekł Bill, w ponure wpadając zamyślenie. Wyleczonym być nie mógł: doktór wyraźnie powiedział, że wpadł w monomanię: ciągle mówił o żonie swej, o tem, że mu ją wykradziono, że pomsty szuka, że się pomści... Ot i wszystko. Będzie z pół roku, jak znikł, przepadł bez wieści. Przetrząsłem Salt-Lake-City, Chicago, New-York — ani śladu. Przybyłem tu...

— Tu — powtórzył głucho Islington.

— Tu, taki jest cel mojej podróży. Chciałeś wiedzieć, powiedziałem. A teraz, bądź co bądź, czy opętaniec ten kryje się gdzieś w pobliżu, czy o mil tysiące, czy ciebie, Tomy, szuka, czy... tamtego, mniejsza o to — trzeba, abyś się stąd natychmiast oddalił, abyś się z nim nie spotkał. Pojedziemy krążyć po lądach i wodach — świat przestronny... za lat kilka wrócimy, Tomy. Tymczasem dyabli go porwą może. Chodź, Tommy, jedźmy.

Powstał i Islington także.

— Bill — rzekł chwytając go za ręce, w ten sam sposób dziecinny i krnąbrny, jak dawniej — z szalonym, czy z przytomnym, tu, czy gdzieindziej, widzieć się z nim muszę, odnajdę go. Każdy dolar, który posiadam, do niego należy, każdy wydany, zwróconym mu być winien. Młody jestem, silny, do pracy uzdolniony! Bill! O, Bill — dopomóż mi wyjść z tego okropnego położenia.

Bill brwi zmarszczył nie chciał zdradzić zadowolenia.

— Wiem, wiem! Piękne frazesy... szaleństwo... głupstwo! Bądź zdrów!

(D. n.)

Jak szkodliwem jest zajęcie w kopalniach dla jednostek dorosłych, sądzić można stąd, że 30-letni robotnik jest już „bergfertig,“ t. j. niezdolny do danego wydziału pracy. Trzy czwarte górników (nie licząc klęsk nieprzewidzianych) umiera wskutek wycieńczenia. Z 1700, powołanych w Göschenen do budowy tunelu St.-Gotardzkiego, zaledwie 50 — 60 doczekało się przekopania tej drogi podziemnej *). Pomimo to wszakże około stu 14-letnich i przeszło dziewięćset 15- i 16-letnich dziewcząt — chłopców zaś, mających od 12 do 14 lat wieku — przeszło 1600 **) pracuje w kopalniach i hutach niemieckich. Taki stan rzeczy bardzo jest w Niemczech naturalny; tamtejsza bowiem ustawa fabryczna nie obejmuje górnictwa i drobnego przemysłu; chociaż statystyka z 1875 r. podaje do 120,000 małoletnich, pracujących w sferze zaniedbanego przez prawodawstwo działu. Nadmierne wyzyskiwanie młodych sił roboczych w warsztatach, żadnej nie podlegających kontroli, do niesłychanych dochodzi rozmiarów i róść będzie póty, póki prawo nie zniesie rozdziału między fabryką a warsztatem, jak to ma miejsce już w Anglii. W Belgii używane są dziś jeszcze kobiety i dzieci kilkunastoletnie do robót podziemnych, a w Ameryce, według ostatnich sprawozdań, setki drobnych pacholąt — od 7-go do 10-go roku życia—znajduje zajęcie w kopalniach.

Na 10,000 robotników w Niemczech — obliczają przecięciowo 100 kalectw i 4 wypadki śmierci rocznie. Dwa niemieckie Towarzystwa ubezpieczeń, do których się zapisało blisko 20,000 robotników, podają cyfrę 100 nieszczęść i 7 do 8 wypadków zgonu (w stosunku 10,000 osób). W Prusach na takąż liczbę pracujących przypada 46 kalectw; w prowincyach nadreńskich—88 i 4 śmiertelne; między robotnikami, trudniącymi się budową maszyn w Berlinie — 120 do 124; w fabrykach tkackich na Szląsku — 25,6 (z których 0.4 — śmiertelnych); na całym zaś Szląsku, śród rozlicznych gałęzi przemysłu w 1876 r. liczono kalectw 115,7.

Ilość skaleczeń i wypadków zgonu, spowodowanych nieostrożnem użyciem maszyn, wynosi, według statystyki z 1875 r., w Prusach 60% (w stosunku do ogólnej cyfry nieszczęśliwych zdarzeń fabrycznych), w Anglii — 76%, według Hirta.

Z 10,000 pruskich górników — 25 rocznie pada ofiarą śmierci, w Austryi—22.

Z wypadków, jakie się zdarzyły na kolejach żelaznych w Niemczech, 38 (w stosunku do 10,000 robotników) zgon spowodowało; znacznie więc mniej, niż w Anglii. (D. c. n.

*) Dr. M. Popper, l. c., str. 65.

**) J. Motteler. *Die Frauen- und Kinderarbeit vor dem deutschen Reichstag.* Mowy z d. 8 i 9 maja 1878. Lipsk.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

I.

Obnimite, druhy moi,
Najmeńszoho brata...
T. Szewczenko.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy najemny c. k. dowcipniś ogłaszał konkurs na wynalezienie narodowości rusińskiej, a poważni publicyści opowiadali anegdotkę o zjeździe „galicyjskich popów.“ na którym każdy z uczestników przemawiał innym, niezrozumiałym dla towarzyszów językiem. Dziś nikt chyba nie zaprzeczy istnienia 20-milionowej ludności, a ostatni wiec we Lwowie najbardziej nawet uprzedzonego przekona, że już nie kilku popów, ale tysiące ludzi porozumiewają się wybornie w tej chłopskiej mowie—nietylko w kwestyach bieżących, lecz i sprawach, wkraczających w sferę wyższej polityki. Jeżeli zaś dotychczas po pismach naszych błąkają się zagadkowe określenia w rodzaju: „*gente ruthenus, natione polonus,*“ jeżeli warszawscy dziennikarze prawią o tożsamości polan kijowskich i gnieźnieńskich, lub uważają język małoruski za prowincyonalną odmianę polszczyzny, liczyć to należy raczej na karb naszego nieuctwa, niż złej woli *). Budząca się z uśpienia umysłowość ludu małoruskiego, coraz wybitniej po obu stronach Zbrucza zaznaczająca wspólność narodowych dążeń i ideałów, nakazuje nam, bez względu na osobiste sympatye lub antypatye, rachować się z istniejącym faktem i zwrócić baczną uwagę na to młodociane piśmiennictwo, które pomimo tylu przeszkód żyje, rozwija się, zdobywa coraz liczniejsze koła czytelników.

Dziwny zaiste los przypadł w udziale temu „najmłodszemu bratu.“ Lud, który tak silnie zaakcentował swoją etnograficzną odrębność, który wytrzymał i najazdy tatarskie i litewską przewagę i cięższe od niej jarzmo „lackich panków“ i swawolę własnej starszyzny — który, pomimo jezuickiej propagandy, ogłupiających rządów niemieckiej biurokracyi i przeróżnych wreszcie eksperymentów *in anima vili*, nie wyrodził się, ale w pełnej sile zachował swoją żywotność — lud ten dla oznaczenia siebie nie ma nawet miana we własnym języku. Małorus, ukrainiec, chochoł, rusin i t. d. są to jedynie prowincyonalne przezwiska, albo sztucznie ukute nazwy.

Ponieważ w szkicu tym zamierzam mówić tylko o wydawnictwach kijowskich, nazwałem więc dany odłam piśmiennictwa małoruskiego—ukraińskim.

Pozostawiając lingwistom określenie miejsca, jakie mowa małoruska zajmuje w grupie dyalektów słowiańskich, i stopnia pokrewieństwa z językiem wielkoruskim, czyli rosyjskim —dotkniemy tylko zlekka zaprzeczanego jej prawa rozwoju samoistnego. W Galicyi, wobec polaków, narodowość rusińska występuje świadomie, jako samodzielna, odrębna całość, posiada własne szkoły, nieliczną wprawdzie, ale z ludu wyrosłą i ściśle z nim zespoloną inteligencyę, przejawia żywotność swą w piśmiennictwie, protestując tym sposobem wymownie przeciw centralizacyjnym zachciankom. W Rosyi natomiast literatura małoruska nie ma napozór żadnej racyi bytu. Inteligencya włada wybornie językiem rosyjskim a jedność wiary i pochodzenia, jedność dążeń i interesów narodowych ścisłemi węzły wiąże dwa pobratymcze odłamy ruskiego plemienia. Dopóki literatura była jedynie udziałem klas uprzywilejowanych, piśmiennictwo małoruskie nie istniało prawie. Chyba jakiś zapleśniały na swoim futorze ukrainiec, oderwany od świata, zapalony miłośnik rodzimego otoczenia, zrzadka odzywał się dumką, pieśnią lub opowiadaniem z życia ludowego. Nie dowodzi to wszakże upadku twórczości narodowej; owszem—wyczerpany długą walką z nieprzyjaciołmi, osłabiony zamieszkami domowemi—lud ukraiński w pieśni tylko wypowiadał swe żale i boleści, tylko w dumach, opiewających dawne czasy „kozackiej woli bez chłopa i pana“ znajdował chwilową osłodę od ciężkiego jarzma poddaństwa, które w lat kilka po zniesieniu Siczy (1775 r.) nagięło do ziemi butne karki uczestników „Koliwszczyzny.“ Kiedy więc w literaturze rosyjskiej na pierwszy plan wystąpiły interesy ludu, kiedy zaczęto badać byt jego, zwyczaje, wierzenia, a z drugiej strony rozbudzone, pod wpływem teoryi słowianofilskiej, zamiłowanie do badań historycznych i etnograficznych skierowało również na tę drogę uczonych, dla zachowania chociażby wierności miejscowego kolorytu, zaczęto używać małoruskiej mowy. W tym mniej więcej czasie z łona ludu wyszedł wsławiony pieśniarz jego niedoli — Szewczenko. Potężnem tchnieniem samorodnego talentu stworzył on, można powiedzieć, nową literaturę ukraińską. Po uwolnieniu włościan od poddaństwa i porównaniu w prawach z innemi klasami narodu, — potrzeba oświaty, a stąd i literatury ludowej stała się konieczną. Od tej chwili prawo na istnienie piśmiennictwa małoruskiego —w tym szczupłym przynajmniej zakresie — zaprzeczanem być nie może. Zachowało też ono po dziśdzień charakter ludowy, przestępując zakreślone szranki tylko w poezyi i belletrystyce.

*) W znajomości stosunków etnograficznych śmiało rywalizować możemy z francuzami. Wołyński np. korespondent *Słowa* znalazł w swej okolicy... *białorusinów*.

Po 1863 r. literatura ukraińska uległa nieuniknionym ograniczeniom. Przed dwoma jednak laty czasowe przepisy zostały zniesione, więzy, krępujące piśmiennictwo ukraińskie, opadły i dziś rozrasta się ono i zakwita, obiecując w przyszłości coraz obfitsze plony.

Przed nami leży właśnie *Rada*, wydany w Kijowie, pod redakcyą M. Staryckiego, almanach ukraiński, w którym przyjęli udział wszyscy prawie wybitniejsi przedstawiciele literatury małoruskiej. W porównaniu z wydanym przed dwoma laty zbiorkiem p. t. *Łuna* (Echo), zauważyć się daje znaczny postęp.

Literatura ukraińska stawia zaledwie pierwsze kroki. Zdradza ona jeszcze niepewność, chwiejność ruchów, niby dziecko, któremu po uwolnieniu z pieluch—kazano chodzić; ale tryska żywym zdrojem szczerości i krzepkości młodzieńczej. Dziecko to wprawdzie — ale z tych, co w kolebce łby urywają hydrom. Jeden z krytyków rosyjskich porównywa ją z człowiekiem, obudzonym z kilkoletniego letargu. Ocknął się on i widzi, że życie powszechne nie czekało nań, czas płynął szybko, tworząc nowe stosunki, nowe warunki bytu; rzuca się więc na wszystkie strony, na wszystko zwraca uwagę, gorączkowo pragnie dopędzić towarzyszy, aby iść wraz z nimi, w rezultacie zaś traci pewność ruchów, zbacza z drogi, śpieszy się, potyka i znów powstaje. W takim właśnie położeniu znajdują się pisarze ukraińscy. Mnóstwo zdań oczekuje chętnych rąk: trzeba stworzyć niemal dramat i komedyę; ukuć terminologię dla dzieł popularno-naukowych, wydoskonalić język literacki, przyswoić swemu ludowi twory obcej myśli i t. p. To też autorowie śpieszą się gorączkowo, rozpraszają siły w rozmaitych kierunkach, dbając raczej o ilość, niż o doskonałość robót.

Wybitną cechą tej literatury jest jej demokratyczny, realny kierunek. Smutek, który owiewa wszystkie prawie utwory ukraińskiej muzy, dalekim jest od romantycznego rozżalenia. Istnieje rozpowszechnione zdanie, że smutek jest koniecznym atrybutem poetyckiej twórczości ukraińców. Ale to znaczy, że warunki życiowe nie pozwalają pieśniarzom nastrajać liry na ton wesoły. Okoliczność więc ta świadczy jedynie o realizmie literatury, wiernie odzwierciedlającej smutną dolę ludu. Ślepe, bezkrytyczne uwielbienie przeszłości, od którego w znacznej części nie był wolny Szewczenko, ustąpiło miejsca trzeźwym poglądom na współczesne warunki bytu. Daremna tęsknota za złotymi czasami kozackiej swobody, pobożne westchnienia do ideałów, które przeżyły się i nigdy już w rzeczywistości wcielonymi nie będą, powtarzające się bez końca w poezyach starszego pokolenia — nie znajdują już oddźwięku w sercu młodych autorów. Łzy, powiada jeden z nich, M. Staryckij, to niemoc kobieca.

„a nam treba rozburkaty syły,
Szczob pidniat' toho brata z mohyły,
Proswityt' wikowoho raba...“

Za tło do szkicowego obrazu najnowszych płodów piśmiennictwa małoruskiego — posłuży nam pomieszczony w *Radzie—Pokazczyk nowoi ukrainśkoi literatury*. Autor zebrał dane od 1798 roku; niepotrzebnie tylko włączył do swej pracy niektóre wydawnictwa galicyjskie. Należało albo dać zupełny spis wszystkich utworów wydanych w Galicyi, albo dział ten milczeniem pominąć.

Początków literatury ukraińskiej szukać należy śród zamierzchłej przeszłości w ogólnym skarbcu piśmiennictwa ruskiego. *Kronika Nestora, Latopis halicko-wołyński, Pouczenije Monomacha*, wreszcie *Słowo o pułku Igora* — oto pierwsze utwory, pisane w południowo-ruskiem narzeczu. Niewola tatarska stłumiła te zarodki oświaty. Dopiero w końcu XVI i na początku XVII wieku zaprowadzenie druku i walka z propagandą katolicką — wytwarzają nową literaturę. W ukraińskich miastach powstają bractwa i szkoły — źródła oświaty dla całej Rusi. Metropolita, Piotr Mohyła zakłada akademię w Kijowie i nakazuje wprowadzić do szkół język ludowy. Trudno dziś określić te rezultaty, do jakich doszłaby kultura małoruska, gdyby smutne wypadki historyczne nie powstrzymały jej postępu. Ujemny wpływ na rozwój języka wywarło postanowienie Synodu z r. 1721, nakazujące „porównywać“ książki treści duchownej „z wielkoruskimi wzorami, żeby nie było w nich żadnej różnicy i oddzielnego narzecza.“ Akademia wkrótce potem zamieniona została na seminaryum duchowne. W 1780 r. wprowadzone zostało poddaństwo: inteligencya zerwała z ludem wszelkie związki, czego bezpośredniem następstwem było zamknięcie wielu szkół i upadek oświaty.

Nowa literatura zaczyna się od Kotlarewskiego. W ciągu dwudziestu lat był on jedynym autorem małoruskim. Dopiero w 1834 r. zjawia się aż sześć książek odrazu. Ale z powodu satyry Hulak-Artemowskiego *Pan ta Sobaka*, która wywołała straszną wrzawę w kołach zachowawczych, młode piśmiennictwo o mało nie uległo klątwie zakazu. W r. 1837 wydano tylko 2 dziełka; w 1838—5. Kwitka (Osnowianenko) i Hrebenko umyślili w tym czasie wydawać dziennik małoruski; ale zamiar ich nie doszedł do skutku. Do 1845 r. wyszło 24 książek. W 1846 i 7 znowu ani jednej. Główni bowiem sprawcy ruchu umysłowego—Szewczenko, Kulisz i Kostomarow — zmuszeni byli opuścić mury Kijowa. Do 1844 roku wydrukowano ledwie 19 dzieł; ale w początkach panowania Aleksandra II nastąpiło znaczne ożywienie w literaturze. Wystąpili na scenę nowi działacze, jak Marko Wowczok (Markiewiczowa), Antonowicz, Mordowcew i inni. W pierwszem trzechleciu (1857—1860) literatura ukraińska zbogaciła się o 26, w drugiem (1860—1862) aż o 95 utworów. Kierunek ludowy ze szczególną wtedy uwydatnił się wyrazistością. Miesięcznik „Osnowa“ gromadził i wyrabiał siły literackie. Ale i „Osnowa“ przestała istnieć.

W r. 1863 i 4 wyszło tylko 9 książek, w 65—2 broszury, w 66—żadnej. Następne czterolecie dało zaledwie 17 utworów, drukowanych przeważnie w Galicyi. Od 1871 do 76 — wydano 119 prac, pomiędzy niemi — wielkiej wartości zbiory pieśni i podań ludowych. W 1876 nastąpiło zamknięcie południowo-ruskiego oddziału towarzystwa geograficznego—i od tej chwili, aż do 1881 roku, nie pisano a przynajmniej nie drukowano nic po małorusku. Dopiero w 1881 r. powołano do życia teatr ludowy i zniesiono czasowe rozporządzenia, krępujące swobodę słowa. W ciągu tegoż roku i trzech pierwszych miesięcy następnego odbito 38 dzieł w 137,000 egzemplarzy. Nowe wydanie „Kobzarza“ Szewczenki (w 6000 egz.) rozeszło się prawie w ciągu kilku tygodni. Dotychczas jeszcze literatura małoruska nie ma własnego organu; ale brakowi temu starają się zaradzić zbiorowe wydawnictwa, a poważny dziennik „Kijewskaja Starina“ zajmuje się badaniem przeszłości Ukrainy.

Wiatko.

WYCIECZKA DO ALZACYI.

II.

Ze Sztrasburga przez Schlettstadt i Kolmar do Mülhuzy. — Czy własność jest sakramentem, czy kradzieżą? — Spółka hasłem ratunku. — Powieść Jeża. — Nasze gospodarstwa połowiczne i spółki z chłopami.

Droga ze Sztrasburga do Mülhuzy jest wcale piękna. Po lewej stronie kolei widać dalekie, fioletowo zamglone kontury Szwarcwaldu; po prawej — bliskie pasmo Wogezów, urozmaicone zwaliskami zamków i zameczków, miasteczkami i wioskami, rozsianemi na stokach i u stóp gór. Zarysy ich podobne są do szwarcwaldzkich, a osoby, które podróżowały po Wogezach, dowodzą, że widoki nie ustępują rozległością i pięknością naturze Szwarcwaldu.

Schlettstadt, miasteczko starożytne, wraża się w pamięć—piękną, wspaniałą katedrą gotycką z XIII wieku. Stajemy w Kolmarze; zwiedzamy oryginalnie piękny, z niedokończonemi wieżami, chociaż pięćset lat temu zbudowany kościół św. Marcina; poświęcamy godzinę na obejrzenie muzeum, założonego trzydzieści lat temu w dawnym klasztorze dominikańskim. Miasteczko to dwudziestotysięczne przedstawia się wcale korzystnie, szczególniej pod względem zabytków malarstwa i rzeźby. Ma ono kilka ulic i kilkadziesiąt domów — tak ciekawych swoją starożytnością, że zdaje się, jakby wczoraj odkopane było po kilkowiekowym śnie pod popiołami. W Alzacyi co krok wogóle napotyka się takie średniowieczne niespodzianki architektoniczne, że archeolog dziwić się musi, jak mogły one ocaleć po tylu burzach wojennych. Kilka pomników generałów francuskich zdobi place i przechadzki kolmarskie. Niemczyzny jeszcze tu mniej słychać i widać, niż w Sztrasburgu: a Mülhuza jest już jakby francuskiem miastem.

Wieczorem przybywamy do tego Manchestru alzackiego. Pierwsze wrażenie odpowiada epitetowi; na ulicy rozlega się dziwny stukot i odgłos niezwykłych jakichś sygnałów: to lokomotywa, ciągnąca za sobą parę wagonów omnibusowych, przez główną ulicę miasta. Szukamy i znajdujemy przyszłego naszego przewodnika. Jest nim bardzo miły i ukształcony kupiec miejscowy, wdzięczny pacyent mojego towarzysza podróży. Wiedział o naszych zamiarach, więc poczynił przygotowania dla obwiezienia nas nazajutrz po najwybitniejszych punktach grodu. Najciekawszem tu jest — przedmieście robotnicze (cité ouvrière); jemu więc główną uwagę poświęcamy.

Są rzeczy, o których dużo pisano i rozprawiano, a jednak wraca się do nich co chwila: do tego rzędu należą zagadnienia społeczne. W naszym kraju nie nabrały one jeszcze palącej nagłości; ale nabrać jej mogą lada chwila. Smutne zajścia żyrardowskie są groźną przepowiednią powikłań, które, jeżeli się im zawczasu nie zapobieży, urosnąć mogą w krótkim czasie do rozmiarów kwestyi społecznej zachodnio-europejskiej. Chodzi o los rozrastającego się proletaryatu robotniczego i wiejskiego. Wytworzyły się dwa obozy ludzi: kapitalistów i ubogich; stanęły one na zachodzie nie *obok*, ale *przeciwko* sobie... Prawodawstwo, obecnie działające, okazuje się bezsilnem do zapobieżenia antagonizmowi: uświęca ono tylko biernie własność z jednej strony, a prawo życia i bezpłatnego oddychania powietrzem z drugiej; *czem* zaś proletaryat ma żyć, o tem zgoła wiedzieć nie chce, chociaż nie ignoruje spostrzeżenia, że samem powietrzem żyć nie można. Wolno jest wprawdzie ubogiemu pracować i zarabiać; ale nie zawsze praca się znajduje, nie zawsze na utrzymanie wystarcza i nie zawsze jest możebną, bo przychodzą choroby i starość. A do tego rodzi się w głowach biedaków pytanie: dlaczego oni mianowicie skazani są z urodzenia na ubóstwo i pracę, chociaż są takiemiż ludźmi, jak dzieci kapitalistów?

Aby zaradzić złemu, mózg ludzki wymyśla tysiączne lekarstwa. Istnieje, jak wiadomo, cały szereg teoryj, cieniujących się od najskromniejszych paliatywów, aż do najśmielszych operacyj za pomocą ognia i żelaza; kamień obrazy, własność uważana jest na skrajnej prawicy za przenajświętszy sakrament społeczeństwa, a na skrajnej lewicy—po prostu za kradzież („la propriété c' est le vol“).

Wśród zamętu teoryi i projektów, prześwieca się jedna myśl zbawcza, która i teoretycznie i praktycznie zdaje się umożebniać pokojowe rozwiązanie groźnego węzła: nazywa się ona *spółką*. Chodzi jej o to, aby poróżnione obozy postawić nie *przeciwko*, ale *obok* siebie; aby wydziedziczonym dać możność prędkiego i łatwego nabywania własności; aby robotnika dopuścić do wspólnych zysków z kapitalistą, a tem samem zainteresować go w sprawie wspólnego przedsiębiorstwa.

Są ludzie, których myśl o jutrze nie wiele zajmuje, a kwestye ogólniejszej natury nudzą, bo się im wydają próżną gawędą; takich nazywa świat ludźmi trzeźwymi, praktycznymi; patrzą oni z góry na teoretyków socyalnych, przezywając ich pogardliwie „katedrowymi,“ albo „ideologami.“ A jednak ideologowie myśleć i przewidywać nie przestają, bo takie ich już widać przeznaczenie. Kiedy zajdzie jakaś klęska społeczna, wówczas dopiero panowie praktyczni przypominają sobie, że ideolog miał racyę: urzeczywistniają jego projekty i poświęcają parę wianków jego pamięci, mówiąc w duchu: szkoda, żeśmy go wcześniej nie usłuchali; uniknęlibyśmy katastrofy...

Niedawno jeden taki ideolog przemawiał do nas; ale głos jego przebrzmiał „jak głos fletni w dolinie...“ Orlim wzrokiem sięgnął on w daleką przyszłość, ujrzał czarne chmury na widnokręgu i odwracając się do obecnych, powiedział: łączcie się z ubogim w spółki, bo będzie źle... Oto macie myśl moją, wyrażoną dostępnie, w formie powieści: wybrałem tę formę dlatego, aby wszyscy, wszyscy mogli mię zrozumieć; włożyłem w nią część mojej duszy, część marzeń o przyszłości i dobru ojczyzny, którą tak kocham; zdaje mi się, żem wynalazł zaklęcie tej burzy, która z pewnością nadejdzie, a a której nie zażegna ani prawo, ani religia, tylko wolna wola wasza i wasza obywatelska inicyatywa...

Domyślasz się, czytelniku, że mówię o powieści Jeża *Wnuk Chorążego*. Jeżeli jej nie znasz jeszcze, to czemprędzej przeczytaj. Nie dość bowiem, że jest ładna i zajmująca, jako powieść, ale pod lekką osłoną kunsztownego opowiadania—kryje w sobie wielką myśl, podyktowaną przez najszlachetniejsze serce i głęboki rozum.

Wiem, że ogromna większość zachowawców naszych, rozkochanych w dniu wczorajszym, pogodzonych z dzisiejszym, a ślepych na jutrzejszy, lekceważy sobie wszystkie głosy Kassandry i żartuje z marzycieli, których ani rozumie, ani ocenia. Teoretyczne wywody rozbijają się zwykle

o twarde czaszki mierności, zwanej większością, jak promienie słońca o szare dachy łupkowe. Dostępnemi dla nich są tylko praktyczne argumenta. Trzeba ich przyprowadzić pod nową budowę i powiedzieć: patrzcie, oto nasza tak zwana przez was „mrzonka“ stała sią ciałem; dotnijcie się jej i przekonajcie, że to nie widmo, ale coś rzeczywistego, coś pięknego, pożytecznego, trwałego. Wtenczas dopiero zaczynają oceniać doniosłość pomysłu i naśladować jego wcielenie.

Otóż przypatrzmy się temu wcieleniu marzeń socyologicznych. Lecz przedewszystkiem postarajmy się dowiedzieć, czy nie próbowano już u nas podobnych urządzeń?

Że w wielu okolicach kraju naszego prowadzi się tak zwane gospodarstwo „na połowę“ z włościanami, o tem powszechnie wiadomo. Nie jest to spółka właściwa, lecz ważny krok ku jej zastosowaniu. Dziedzic oddaje w dzierżawę włościanom grunta dworskie — z warunkiem, że własnym inwentarzem i trudem uprawią pola, obsieją je, zdejmą plony z roli i łąk, a później dzieli się z nimi po połowie całym urodzajem. Ale słyszałem, że próbowano już i spółek w rodzaju tej, jaką Jeż w powieści przedstawia. Jakże pożyteczną i pożądaną byłoby rzeczą, gdyby naoczni świadkowie, lub sami uczestnicy zechcieli szczegółowo opisać tego rodzaju próby: korzystnemby to było i dla nich i dla ogółu, gdyż poddałoby sprawę pod dyskusyę i zachęciło kraj do naśladowania.

Uprzedzając zarzut, że przecież włościanin nasz jest uwłaszczony, więc po co nam myśleć o przysposabianiu dlań własności, zwracam uwagę, iż uwłaszczonych, wobec szybko rozwijającego się zastępu ogrodników, parobków itp., nie posiadających własnosci, jest dziś już daleko mniej, z czasem zaś jeszcze mniej będzie; a nadto, że w widokach dobra powszechnego nie chodzi o jednorazowe uwłaszczenie, ale o uwłaszczanie ciągle i systematyczne, w miarę wzrostu proletaryatu; bo tą tylko drogą zapobiega się złemu w zarodku.

Najwięcej przekonywającym jest przykład istniejących już i bujnie się rozwijających urządzeń mülhuzeńskich, które dziś już nie ograniczają się jednem miastem, lub jedną prowincyą, lecz ogarniają coraz szersze przestrzenie i wszędzie okazują się prawdziwem dobrodziejstwem. W najbliższem sasiedztwie Mülhuzy, we francuskich miastach — Belforcie i Montbéliardzie — już wzniosły się i kwitną podobneż dzielnice robotnicze, oparte na tych samych zasadach. We wszystkich zresztą krajach gorliwie zaczęto się krzątać około stosowania wcielonych tu zasad, i wszędzie z pomyślnym skutkiem.

Przypatrzmy się tedy bliżej tej rzeczypospolitej robotników, korzystając z uprzejmości jej członków, przedstawicieli i z grzeczności przewodników naszych.

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

Polowanie na rozkoszne dziewczątka. — Zakład wychowawczy dla *dziatek* rodziców *zamożnych*. — Cyrkułowa analiza chemiczna i cyrkulacya mleka. — Odprawa Eskulapowi.—Słuszne pretensye akademików krakowskich. — Samotrzaski konserwatyzmu.—Tajemnicza fabryka dowcipów i uwzględnienie właściwej sfery.

Rozkoszne, może sześcioletnie dziewczątko bawiło się wczoraj w ogrodzie botanicznym, koło *basenu*. Na ławce siedziała bona — rozumie się niemka. Córa Germanii krzywem okiem patrzała na pląsy polskiego dziecka, aż w końcu zaczęła, Bóg wie za co, szczypać i bić dziewczynkę, wołając przytem ze złością: *du verfluchtes polnisches Schwein!*

Taki, raz na zawsze zredagowany stereotyp posiadają w swych *kasztach* zecerzy naszych pism brukowych. Co drugi lub trzeci dzień do redakcyi Kuryerów przychodzi o pewnej godzinie reporter „od *botaniki*.“

— Proszę pana sekretarza upolowałem dziś jedno *urocze dziewczątko.*

— Czy *verfluchtes*?

— Tak. To wynosi złoty i groszy sześć.

— Wiem, wiem. Powiedz pan zecerowi; on to już ma u siebie.

Reporter odchodzi. A niech nie zapomni dodać *sapienti sat*, albo: *smutne, ale prawdziwe* — woła za odchodzącym sekretarz, zapisując u siebie w notatniku: „*sapienti* — kop. 5.“

W tym samym czasie rozkoszna mama dziewczątka stoi na straży ogniska (*foyer*) w teatrze, gdyż, jak wiadomo, „nowatorowie napróżno dotąd usiłowali sprowadzić nasze niewiasty z właściwej im drogi.“

Zdarza się też czasem, iż litościwy wysłannik Kuryera odprowadzi bonę wraz z dzieckiem do rodziców i wtedy „państwo odprawią niesumienną piastunkę“ — rozumie się na to, aby przyjąć zaraz drugą, równie „sumienną.“

Podobnym objawom gorliwości postanowił zapobiedz u nas jakiś obywatel, otwierając przy ulicy Marszałkowskiej „Zakład wychowawczy dla *dziatek* rodziców *zamożnych*.“

Gdyby jeden z literatów naszych nie ubiegł mnie w przyswojeniu sobie przywileju na styl hugonowski, powiedziałbym tutaj kilka krótkich frazesów, jak np. źródła rewolucyi — to... szyldy bez sensu!

Teraz jednak zauważę tylko, iż bogate wystawy zbytkownych magazynów dość już urągają głodnym biedakom, abyśmy potrzebowali czynić to jeszcze wyraźniej. Że chęć kształcenia dzieci, wobec 15-rublowej pensyi, jest grzechem, o tem biały murzyn dowie się najlepiej od księdza, który go też nauczy zgadzać się z wolą bożą; że ludzie bogaci znoszą tysiące trosk i kłopotów, jakich nie zna skromny, ale pracowity wyrobnik — o tem powiadomią nas w Kuryerku nasi socyologowie; ale przestańcie panowie wmawiać w dziecko, jeszcze przed wejściem jego do szkoły, że jest wybrańcem losu, że dla niego nauka ubiera się w złociste okładki. Arytmetyka na welinowym papierze nie potrafi w przyszłości obrachować głodnych dni, zakarbowanych na skołowaciałym mózgu wyrobnika.

Ponieważ właściciel zakładu — dzieci zamożnych rodziców nazywa *dziatkami*, więc przeczuwam, iż nie jest on zwolennikiem ani pozytywizmu, ani bezwyznaniowości, ani materyalizmu, i że nie miał nigdy zamiaru waśnić ze sobą warstw ludności jednego kraju. Przeciwnie, jest to tylko uznanie dla socyologii tak starej jak świat, dla podziału na grupy tak naturalne, jak chciwość lichwiarza lub głupota jego dłużnika. Dlatego też upraszam cię, zacny pedagogu, abyś się nie dziwił, gdy posłyszysz kiedyś na przechadzce taką np. rozmowę:

O, my z kawalerem bawić się nie możemy!

Dlaczego?

Bo my jesteśmy dziatki rodziców zamożnych.

Na przybyciu do naszego miasta tej arystokratycznej Minerwy stracą najwięcej reporterzy od *botaniki* i kanceliści. Pierwsi nie będą już mogli polować na „rozkoszne dziewczątka,“ drugim żony nie dadzą spokoju, dopóki „Jaś nie zostanie oddany do *tej* szkoły, co to na Marszałkowskiej...“ Biedni ojcowie! Oprócz zatargów z Szajlokami... czeka was jeszcze jedna klęska!

Mówiąc z kolei o stróżach naszego zdrowia, nie mogę zapomnieć o odprawie, należnej jednemu z nich od nas. Zacny Eskulap, w podanej przeze mnie w zeszłej kronice wiadomości o niegrzecznym lekarzu, dopatrzył obrazy wszystkich adeptów Hipokrata. Pretensya całkiem niesłuszna. Jeżeli się mówi, że *pewien* lekarz, lub adwokat nie był dość grzecznym, to znaczy, że był sobie *pewien* niegrzeczny lekarz lub adwokat — nic więcej. Nikomu z czytelników na myśl nie przyjdzie, że wszystkich adwokatów albo lekarzy cechuje u nas brak wychowania. To, co powiedziałem o owym ordynatorze lecznicy prywatnej, stosuje się do wszystkich lekarzy — tylko jako przestroga, do jednego zaś, jako oskarżenie. Dobro publiczne zyska może na tem tyle, iż w każdej lecznicy pacyent przyjmowany będzie z należną grzecznością; obrażać się zaś mogą ci tylko, na których głowie „czapka gore“ lub na czyim stole „odzywają się nożyce.“ Co do nazywania ludzi i rzeczy po imieniu, to ja sam jestem wielkim tej zasady zwolennikiem; będę zaś bezwzględnym jej wykonawcą wtedy, gdy w sądach naszych nie tyle obecność dwu świadków, ile zdrowa logika sędziego zacznie wydawać wyroki. Tymczasem powiedz mi, szanowny konsyliarzu, cobyś uczynił, gdyby do ciebie przyszedł twój brat albo ojciec, któremu ufasz, i oskarżył przed tobą pewnego lekarza, do którego urazy mieć nie może, bo go nigdy pierwej nie widział? Jako syn lub brat pokrzywdzonego, ujmiesz się za nim osobiście, jako dziennikarz, zapragniesz innych ojców i braci od niemiłych zajść takich uwolnić. Czyż mam jeszcze zapożyczyć od Kuryera jedno *sapienti sat*? Zresztą, o ile wiem, artykuł mój nie wprowadził w błąd nikogo, gdyż niegrzeczny lekarz znany jest w mieście naszem ze swojej gburowatości.

Daleko bardziej uzasadnionemi są skargi młodych medyków i pracowników krakowskich, w obronie których odzywa się teraz korespondent *Gazety Polskiej*. Biedni studenci wszechnicy jagielońskiej, wśród których, obok wielkiej liczby ubogiej młodzieży z klasy wieśniaczej lub urzędniczej, znajduje się mała tylko garstka panków, nie mają prawie innych źródeł dochodu nad koncertowo-teatralną jałmużnę lub ciężką pracę straszliwie wyzyskiwanych pismaków i guwernerów. Mówiąc nawiasem, znam oprócz Krakowa jeszcze jedno miasto, gdzie „dziatki rodziców zamożnych“ stanowią fatalną mniejszość w łonie uniwersyteckiej młodzieży, i gdzie Melpomena pełni zapamiętale służbę siostry miłosierdzia; ale nie na to chciałem zwrócić uwagę. Korespondent *Gaz. Pol.* jest *enfant terrible* papy konserwatyzmu. Bezwiednie zapewne wyrządza on swemu rodzicowi niedźwiedzią usługę. Jakto?—więc adwokat krakowski niema prawa powiedzieć swemu młodemu dependentowi: „Ja znajdę stu, którzy mi za tę cenę chętnie pracować będą!“ Korespondencie nie przeszkadzaj mecenasom w pokazywaniu nam najpiękniejszego z kwiatków, jakie się rozrosły na gruncie naszej dobrej, naszej drogiej, *wolnej konkurencyi*. Jeszcze jedno. Czyż *filantropia* nie jest już tym jedynym balsamem, kojącym wszystkie rany, jakie ułomni a wolno konkurujący ze sobą ludzie wzajemnie sobie zadają? Cóż więc masz do zarzucenia jałmużnie teatralnej?

Wobec konserwatyzmu, tak zabawnie we własne sieci zaplątanego, najpoważniejszy nawet umysł zdobędzie się na trochę humoru i wesołości, dlatego też nie przestanę dziwić się naszym pisemkom, że gmatwając się codziennie w najweselszych paradoksach, nie chcą wyzyskać tej swojskiej krynicy dowcipu i wolą sprowadzać takowy z jakiejś nieznanej mi, a zapewne niedawno u nas założonej fabryki. Wyroby owe noszą na sobie, jak zwykle piętno jednego zakładu, oto co czytamy w dwu naszych Figarach, opatrzonych jedną datą:

Figaro (o dwu wydaniach — porannem i wieczornem):

— Janie!... co ty robisz? obcierasz talerz chustką od nosa?

— Nic nie szkodzi, jaśnie panie, już i tak brudna...

Figaro (o jednem wydaniu — *porannem*).

— A to co znowu, Emilciu, co ty robisz? wycierasz mój talerz swoją chustką od nosa?

— To nic nie szkodzi, proszę pana radcy — to już nie świeża chustka...

Różnica, jak widzimy, leży w uwzględnieniu właściwej każdemu z pism sfery czytelników, których chciano uraczyć...

P. o. P. P.

W PERSPEKTYWIE.

Wrażenie z wycieczki na Podlasie. — Urzędowa stolica tego kraju. — Poroniony *Tydzień Siedlecki*. — Źródło dochodów dla ewentualnych reporterów tego pisma. — Samobójca i poszukiwanie oznak waryacyi.— Widmo Żukowa. — Pożar Białej. — Marzenia na temat samopomocy. — Kwestya felczerska. Kwietnik naszego ludu.

Pozwól, czytelniku, że się podzielę z tobą, wrażeniami, jakie wyniosłem z odbytej niedawno wycieczki na Podlasie. W urzędowej stolicy tego kraiku spotkał mię na samym wstępie niemiły zawód. Dowiedziałem się, że otrąbiony przez nasze pismo *Tydzień Siedlecki* jest tylko halucynacyą warszawskich reporterów; mieszkańcy Siedlec nie słyszeli nic o bliskich jego urodzinach. Co do mnie, to myślałem, iż w mieście, którego magistratura i kupiectwo organizują wzorowe odczyty — obecność pisma jest zbyteczną; okazało się jednak, iż domniemani prelegenci: miejscowy prezydent p. Dąbrowski i radny p. Frieman— nigdy, jako żywo, żadną katedrą się nie splamili. Pan Dąbrowski nawet nigdy nie oddawał się handlowi; był on tylko chwilowo przedstawicielem siedleckiego kupiectwa, podczas uroczystości koronacyjnych w Moskwie. Podlaskiemu korespondentowi naszych Kuryerów przyśniło się pewnego razu, że p. Dąbrowski, jako prezydent miasta, mógłby najwięcej wiedzieć o wysokich korzyściach miejskiego samorządu, p. Frieman zaś, jako radny magistratu, najlepiej jest przekonany o potrzebie t. zw. „czystych rąk" w zarządzaniu dochodami sławetnego grodu. Wziąwszy sen swój za jawę, korespondent napisał do Kuryerka, że takie a takie odczyty odbyły się w Siedlcach; inne pisma powtórzyły tę wiadomość — po to chyba tylko, abym się ja później rozczarował boleśnie.

Sen letargiczny *Tygodnia* zmartwić może każdego, chociażby tylko przez wzgląd na opłakane losy ewentualnych jego reporterów. Zacni ci ludzie temperowali już zapewne pióra, obiecując sobie obfity zarobek, którego źródła stoją otworem, w postaci ziejących dziur w chodnikach siedleckich. Nie zdarzyło mi się literalnie widzieć tam ani jednego trotuaru, któryby się gwałtownej nie domagał naprawy: słyszałem jednak, iż co do uszkodzeń, których powierzchnia przenosi łokieć kwadratowy, posłano już „przedstawienie," dokąd należy, z prośbą o zezwolenie na ich restauracyę.

Z osobliwości miasta, oprócz wielu innych, oglądałem magazyn wojskowy, który w ostatnich czasach zasłynął, jako miejsce niezwykłego samobójstwa.

Żołnierz odebrał sobie życie pod ścianami tego samego magazynu. Dopiero pozostawiona przez niego kartka i toczące się obecnie śledztwo sądowe wykryło cały stan rzeczy. Niektórzy z lekarzów, dokonywających obdukcyi na nieboszczyku, poszukują podobno w jego czaszce śladów chwilowego obłąkania.

Żałowałem mocno, żem nie przybył o kilka dni wcześniej do tego miasta smutnych wspomnień i niedoszłych odczytów. W takim bowiem razie widziałbym tam na podwórku jednej z kamienic istne obozowisko wieśniaków. Na wilgotnym bruku przez dwa dni i tyleż nocy leżało osiemdziesięciu kilku chłopów, sprowadzonych przez pewnego służalca Temidy, który nazywa siebie adwokatem. Chodziło o rozparcelowanie jakiegoś majątku pomiędzy owych włościan i o sporządzenie „tytułu własności." Obierając sobie pełnomocnika, chłopi mogliby załatwić cały ten interes za cenę kilku rubli i straty kilku dni roboczych. Pomysłowy „adwokat" nie chciał jednakże uprzedzać o tem swoich klientów; wolał on sprowadzić ludność całej wioski do miasta, narazić gospodarzy na ogromną stratę czasu i wziąć za to wszystko, zamiast przepisanych prawem kilkunastu złotych — aż... 240 i kilka rs., to jest po 3 rs. od osoby. Przedstawiciele miejscowej opinii, zebrawszy się pod werendą jedynej, istniejącej w Siedlcach cukierni—wypowiadali już nieraz swe zdanie o bezecnym postępku; pomimo to jednak nie zaręczę, czy pseudo-adwokat nie zamyśla o nowej „korzystnej aferze."

Opuściwszy Siedlce, udałem się dalej, ku południowi. W przejeździe widziałem spalony Łuków. Ogorzałe kominy spoglądają z wyrzutem ku niebu, gdzie w niedościgłych błękitach kąpią się różowe marzenia pogorzelców o ochotniczej straży ogniowej.

Jeszcze mi zgliszcza Łukowa nie były wyszły z pamięci, kiedy, zbliżając się do Radzynia, ujrzałem olbrzymie pogorzelisko wsi Białej. Sto kilkadziesiąt zabudowań gospodarskich, kilkanaście sztuk chłopskiej chudoby i *sześciu ludzi* — oto danina, jaką nieszczęśliwa wioska złożyć musiała płomieniom. Pewien włościanin stracił w pożarze *czterech synów*... Są nieszczęścia, wobec których nawet łzy współczucia płynąć nie mają odwagi, aby nie sprofanować bolu...

Nieszczęście Białej pobudziło inteligentnych mieszkańców Radzynia do niewesołych rozmyślań na temat naszej samopomocy. Klęski podobne, jakkolwiek wielkie, nie szkodziłyby nam tyle, gdybyśmy się do większej poczuwali solidarności. Pogorzelcy z Białej mogliby wtedy rachować na rychłą i uorganizowaną pomoc swoich sąsiadów. Wioski też okoliczne i dwory powinnyby były pośpieszyć z pomocą. Starsi bracia niechby dali dobry przykład młodszym. Dwory, sąsiadujące z Białą, posiadają np. znaczne lasy: odpowiednia pożyczka w naturze nie zubożyłaby jaśnie wielmożnych, a dopomogłaby nieszczęśliwym do odbudowania spalonych chałup i stodół. W takich właśnie wypadkach nastręcza się najlepsza sposobność wytępienia owej sławnej, przez niechętnych nam wywołanej, nieufności chaty do dworu.

Drugą klęską trapiącą okolice Radzynia — są pokątni felczerzy, którym się zdaje, że „patentowana medycyna" powinna się zadowolić tem, co im samym z nosa już spadnie. Kalecząc i mordując ludzi na wszelkie możliwe sposoby, starają się oni ciągnąć z tych operacyj takie korzyści, wobec których skromne wynagrodzenie doktora wygląda bardzo nędznie.

Jeden z tamecznych lekarzy wezwany był do chorego. Za cały czas stracony na podróż kilkomilową i za poradę swoją zażądał od chłopa 4 rs.; przychylając się jednak do prośby pacyenta poprzestał na *trzech*. Kiedy już powracał do domu, odwożący go wieśniak rozpoczął z nim następującą rozmowę:

— To pan doktór *bierze taniej*, niż felczer?

— A ileż *bierze* felczer?

— Za jedną wizytę kazał sobie zapłacić *siedem* rubli.

Samozwańczy adepci Eskulapa rekrutują się nietylko wśród ludzi świeckich, ale i duchownych. Opowiadano mi tam np. o pewnym *rabinie*, który za receptę dla *nieuleczalnego suchotnika* wziął... 500 rs.

Objawy takiego barbarzyństwa każą myśleć, że *podlasiacy* cieszą się rzeczywiście zbyt bliskiem sąsiedztwem *lasów*.

Profesor wszechnicy Jagielońskiej p. Rostafiński (w odezwie, którą czytelnicy znajdą na końcu niniejszego numeru) zapytuje między innemi: czy wieśniacy nasi w *kwietnikach* swych nie uprawiają rośliny, zwanej *omanem*. O ile można sądzić z nazwy, jest to zapewne jakieś zielsko o własnościach odurzających. Co do mnie, to pośpieszę dostarczyć panu R. niektórych potrzebnych wiadomości. W ogrodach naszych chłopków roślina owa krzewi się bujnie. Niżej podpisanemu znane są takie np. jej odmiany, jak *oman-pokątny*, *oman-znachor*, *oman-propinator*, a w ostatnich czasach z ziemi giermanów wiatr przyniosł do nas nasienie *omana-kabalarki*. Jeden taki okaz hoduje się znakomicie w okolicach *Góry-Puławskiej*. Ludek całemi tłumami podąża do rozkosznej krzewiny, która, jak wszyscy jej bracia i siostrzyce, użyźnia się najlepiej krwawym potem, a rośnie na gruncie ciemnoty mas.

„Z tem wszystkiem, powiada *Gaz. Pol.*, niema nikogo w gminie i powiecie, coby położył koniec tak niecnemu wyzyskiwaniu włościan."

Czy nie poratuje nas profesor Rostafiński?

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 26 lipca.

Cholera. — Drugi kanał sueski. — Zjazdy monarchów. — National-Zeitung o polskiej intrydze.—Sprawa tonkińska. — Potulność anglików.

Cholera odsunęła na drugi plan wszelkie kombinacye polityczne. Grasuje ona w najlepsze w Egipcie; wbrew przewidywaniom lekarzy posunęła się ku południowi i obecnie zabiera w Kairze po paręset ofiar dziennie. Pomimo przedsięwziętych środków ostrożności, zapewne wkrótce ujrzymy w Europie strasznego gościa. Groźny charakter zarazy został już skonstatowany, skonstatowano również komu zawdzięczać mamy jej rozpowszechnienie. Okazało się, że władze angielskie wydawały świadectwa zdrowotności wszystkim okrętom kupieckim byle nie tamować swobody handlu. Wobec takiego potwornego lekceważenia ludzkiego życia, na nic nie zdadzą się środki ochronne, wymyślane przez specyalistów. Swoboda handlu przedewszystkiem — a że setki biedaków padną ofiarą, to trudno: kupiectwo angielskie nie może przecie dla tak błahego powodu wyrzec się części swych zysków.

Dla ułatwienia komunikacyi z Indyami i rozszerzenia angielskiego handlu zaprojektowano wykopać drugi kanał sueski, równoległy do dawnego. Wszakże układy z Lessepsem nie doszły do skutku. Dzisiaj wypada nam cieszyć się tylko z tego, że przynajmniej cholera będzie miała mniej szans przedostania się do Europy. Dwa kanały — to dwa trakty dla przeróżnych epidemij, a silniejszy rozwój brytańskiego handlu jeszcze w większej mierze usprawiedliwiałby w oczach anglików poniewierkę cudzego życia dla korzyści własnej kieszeni.

Maluczko, a gazety ożywią się nieco. Następuje bowiem czas zjazdów monarchów

lub ministrów, kierujących sprawami państw. W początkach sierpnia odbyć się ma w Gasteinie zjazd cesarzów — niemieckiego i austryackiego. Król holenderski spotkał się również ze swoim belgijskim sąsiadem. Pierwszy to dopiero raz przedstawiciele dwóch wrogich dynastyj zbliżyli się w celu porozumienia.

Gazety niemieckie odmówiwszy kwestyę zabezpieczenia wschodniej granicy państwa, traktują teraz o strategicznem znaczeniu galicyjskich dróg żelaznych. *National Zeitung* z powodu ciągłych przygotowań wojennych, rozpoczęła poszukiwania tego burzliwego fermentu, który mąci błogi pokój państw europejskich i znalazła go... w polonizmie. Według zdania liberalnego organu powszechna wojna może przynieść korzyść tylko polakom. Oni też — zawsze oni — intrygują w Wiedniu, podburzają opinię publiczną w Rosyi, wchodzą w konszachty nawet z orleanistami, byle tylko sprowadzić na biednych, Bogu ducha winnych niemców, nieszczęścia wojny. Szczegółowa argumentacya tego dziennikarskiego paszkwilu nie jest zresztą wcale ciekawą — nowa to waryacya na dawno oklepany temat o „polskiej intrydze.“

„Polski pralat“ również postawiony dobrze w Watykanie, intryguje i przeszkadza układom rządu niemieckiego z Kuryą. Leon XIII posiada podobno szczerą chęć pogodzenia się z cesarstwem, ale stoją temu na przeszkodzie jezuici, podbechtywani przez polaków. Rozumie się, wiadomość o tem podaje również *National Zeitung*.

Sprawa tonkińska nie postąpiła ani na krok naprzód. Układy z Chinami przeniesiono z Szangaju do Pekinu, ale nie słychać nic o ich przebiegu. Pomimo nadejścia posiłków, wojska francuskie nie śpieszą się z rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich. Jest więc nadzieja pokojowego załatwienia sprawy. Na interpelacyę, odnoszącą się do tego przedmiotu — w senacie minister spraw zewnętrznych, Challemel-Lacour, dał wymijającą odpowiedź.

Uciszyło się również w Albanii, ochłonęli z patryotycznego zapału rumuni, nawet anglicy ostygli w gniewie za wyrządzoną im obelgę w Madagaskarze. A mają oprócz tego inny jeszcze powód do niechęci względem francuzów. Rząd hiszpański popiera projekt kapitalistów francuskich, zamierzających przekopać tunel pod cieśniną gibraltarską. Będzie to odwet za zawładnięcie kanałem suezkim. Milczą jednak synowie Albionu i nie protestują—kto wie, czy nie z obawy, aby nie wywołać krzyków o naruszeniu przepisów kwarantanny.

CUDZE GŁOSY.

Tygodnik Ruskij Jewrej oburzył się strasznie, że polacy w Wilnie zaczynają prześladować żydów, odmawiając im mieszkań w domach. Ma to być karą za to, że żydzi wileńscy polszczyć się nie chcą, a cała chryja powstała z powodu wymówienia lokalu jakiemuś handlarzowi, zamieszkałemu w domu kościelnym.

„Jeżeli w ostatnich czasach, woła Ruskij Jewrej, w byłej stolicy Litwy, rzadko można było usłyszeć lakoniczne odpowiedzi stróżów, gdy żydzi żądają aby im pokazano wynajmowane mieszkania, że żydów nie wpuszcza się, to teraz jest pewna podstawa obawy, że parafia pójdzie za przykładem duchownej swej władzy i żydzi znów będą zmuszeni zamykać się w oddzielnych częściach miasta. Idzie o to, że wszystkie prawie domy w najładniejszych częściach miasta są w posiadaniu obywateli polaków, którzy w dodatku patrzą na żydów nie jako na swoich współobywateli zakonu mojżeszowego, ale na żydów, którzy nie bardzo życzą sobie *spolaczać się*.“

Delikatna ta denuncyacya, dziwnie brzmi w ustach organu, skarżącego się wciąż na prześladowania i niesłuszne potwarze — rzucane na ludność żydowską. Dały też jej należną odprawę wszystkie prawie pisma rosyjskie, nawet osławiony *Kiewlanin* zapatrzył ją w następującą uwagę:

„Niepotrzebnie *Russkij Jewrej* przygrywać zaczął na strunie „spolaczania“. Polacy wiedzą jak najlepiej, że żyd może w przeciągu 24 godzin stać się polakiem jeżeli to dlań będzie korzystnem. Sprawa rozstrzyga się daleko prościej. Gospodarz który nie życzy sobie żeby dom jego stał się pustką i zbiornikiem nieczystości — stara się unikać lokatorów żydów itd.

Oto co się nazywa, otrzymać policzek moralny! Powstrzyma to zapewne „organ żydów rosyjskich“ od dalszych wycieczek na pole insynuacyj — bo nawet p. Pichno gardzi takim sprzymierzeńcem i ofiarowanego dobrowolnie współudziału w śledzeniu „polskiej intrygi“ nie przyjmuje.

ODEZWA.

Zbierając od dość dawna materyały do historyi hodowli i użytków roślin w Polsce od najdawniejszych czasów, posunąłem pracę tak daleko, iż niedługo przystąpię do jej spisania. Jestto rzecz, pozostająca w ścisłym związku z historyą naszej cywilizacyi, a więc, obchodząca całe społeczeństwo. Dlatego odwołuję się z prośbą do wszystkich ludzi, których przeszłość nasza żywo obchodzi, najprzód z prośbą o dostarczenie mi odpowiedzi na następujące, szczegółowo sformułowane pytania:

I. Zboża.

1) Czy pszenica bywa gdzie w kraju odmiennie nazywana (żyto?).

3) Czy żyto bywa też nazywane reż, chociażby w śladach takich, jak mąka i chleb rżany, czy jeszcze odmiennie i jak? Czy lud suszy niedojrzałe kłosy żytnie na prażmo, albo jak to inaczej nazywa?

3) Czy uprawia się gdzie orkisz, w jakim celu i na jak wielkich przestrzeniach, czy bywa może nazywany szpelta, płoskur, płoskurnica, gołka?

4) Czy znana jest starym ludziom, chociażby z tradycyi nazwa zboża samopsza?

5) Czy nasienie prosa bywa nazywane pszono; gdzie lud używa jeszcze jako dziś zwykłego pokarmu jagieł?

6) Czy uprawia się gdzie ber, czy lud zbiera nasienie z dzikiego bru i wogóle nasion, traw, dziko rosnących na pokarm (kaszę), szczególniej zaś

7) manny czy mielca lub odmiennie nazwanej trawy, w jakich ilościach, czy je sam zużywa, czy przynosi na targ do miasteczek?

8) Czy i gdzie uprawia się soczewica i czy jej odmiennie nie nazywają?

9) Czy uprawia się gdzie groch o ziarnach drobnych, szarych lub zielonych?

10) Czy bywa gdzie u nas uprawiana rzeczywiście gryka a nie tatarka (owoc pierwszej jest na krawędziach gładki, drugiej zaś drobno ząbkowany)?

11) Owies, jęczmień, kukurudza, ich uprawa miejscowa i nazwy?

II. Warzywa.

12) Co lud uprawia na swój pożytek jarzyn, prócz ziemniaków, i co z tego przechowuje na zimę?

13) Nazwy odmienne kartofli w danej okolicy?

14) Brukiew, kwaki, czy karpiele, albo jeszcze inaczej?

15) Brzoskiew.

16) Pasternak.

17) Marchew.

18) Rzepa.

19) Ćwikła czy burak, czy są używane i czy nie mają odmiennych nazw?

20) Czy w pańskich warzywnikach uprawiają gdzie karczochy, kardy, jakie odmiany kapusty, (jarmuż, kalarepa, brokoli, kalafiory), lub jeszcze inne warzywa, np. rapunkuły albo salsefie?

21) Czy znaną jest choćby z tradycyi nazwa kucmerki albo słodyczki?

22) Cebule, szczypiórek, czosnek, łuk, płodzist, czy nazwy te są znane, czy zamiast nich używane, są odmienne?

III. Zieleniny.

23) Wogóle, czy z nadejściem wiosny zbiera lud jakie zioła na pokarm lub zupę?

24) Czy znane są nazwy: odrośle, podczos, potraw (nie w znaczeniu drugiego pokosu siana) i co one oznaczają?

25) Pokrzywa, żegawka, żegawica, życzka albo ciupka, czy używana i pod jaką nazwą?

26) Szczaw, 27) barszcz (roślina), 28) gir albo girz, 29) łopian, łopuch, 30) opich, mrzyk albo myrsik, 31) mirnik, mira.

32) Czy się używają i znane są z nazwiska: śniatka, śnitka, śniedek śniadek lub podobnie (mogą być trzy odmienne rośliny)?

33) Boże drzewko, smażone w maśle lub inne rośliny podobnie przyprawiane?

34) Sałaty i zioła na surowo i jakie?

35) Z tem łączy się kwestya, z czego lud sporządza zupy, które nazywa barszczem, żurem oraz kwaszeniną?

IV. Owoce.

36) Czy hoduje się gdzie tykwa z białemi kwiatami i pod jaką nazwą?

37) Bania i dynia. Pod temi nazwami, używanemi bez różnicy, ukrywają się dwie rośliny, z dwu różnych części świata pochodzące; jedna ma liście wycięte w zaokrąglone klapy, ich ogonki są z podłużnemi bruzdami a koniuszki lejkowatego pomarańczowego kwiatu są pozwieszane, druga ma liście o klapach śpiczastych, ogonki o powierzchni równej (bez bruzd) i lejek kwiatu wyprostowany. Która z tych dwu roślin bywa powszechnie i pod jaką nazwą hodowana?

38) Co w danej okolicy nazywa się melon, arbuz, kawon, korbaz czy jeszcze inaczej?

39) Czy ogórki nie mają gdzie odmiennej nazwy?

40) Grusze. Obchodzą mnie tylko tak liche, starodawne gatunki, że je tylko lud jada albo nie wybredni. Czy znane są znazwiska: brzuchacze, cegłówki, dawidki, gdule, jakóbówki, kapustnice, koniakówki, kościanki, kluniackie, małgorzatki, maczatki, miodówki, muszkatułki, owsianki, pigłówki, przycierpki, rzepnice, rychlatki, sadłówki, szlachcianki, wodzianki, zimówki, zimostradki?

41) Jabłka: Aporty, deporty, czy oporty; biskupie, balsamki, cyganki, świętojanki; jestonki, kwasówki, maryjki, magdalenki, miodówki, pierzgnięta, różanki, rychlaki, windyczki; węglanki.

42) Śliwy: kobyły, marunki, morawki, lubaszki.

43) Wiśnie, tzcośnie, czeremchy, co w danem miejscu oznacza się temi nazwami?

44) Czy znaną jest jeszcze ludowi nazwa dracz dla krzewu powszechnie berberysem nazywanego?

V. Kwietnik.

45) Co lud hoduje w ogródkach i w jakim celu?

46) Czy znaną mu jest nazwa krokosz i do czego to ziele używa?

47) Czy hoduje gdzie jeszcze cyprys ziele?

48) Czy hoduje jako ozdobne: nogiet, nogietek, nogietka (kwiaty złożenia astrów,

żółto-pomarańczowe z liściem niepodzielonym; karfioły, karfijały, śmierdziuszki, turki (kwiaty złożenia pełnych gwoździków albo maleńkich georginij, żółte lub brązowe. o liściach lśniących lub pierzasto podzielonych); piwonie; ślazy (jakie); malwy; słoneczniki; stokrótki; róże; tojad, omięg, omiak, gołąbki; orlik, cynowód, rymszyna, słodyczka; sroczki, brunatki, liściowiec, żabionki; fasole z czerwonym i białym kwiatem i jak je nazywa odmiennie.

49) Czy hoduje oman, rutę, rutkę; boże drzewko; wrotycz; dzięgiel, litwór; lubczyk, lubczek; lawandę, lewandę; majeranek, marjanek; cząbr, cząber; józefek, izop; marunę, marunkę; miętę; szałwiję; rumianek; lebiodkę; czy te rośliny uprawiane są też w pańskich ogrodach.

50) Czy hoduje czarnuszkę; kolendrę; koper; koperek; anyż, kmin; czy te rośliny są uprawiane w pańskich ogrodach.

51) Czy lud uprawia gdzie na sprzedaż w większej ilości koper, anyż, fankuł?

VI. Włókna, plecionki, puch.

52) Czy w danej okolicy uprawia lud na przędziwo len czy konopie?

53) Jak nazywa len: praglec, przędziec, patruch, pryszczek, samosiej, czy słowień, młócek, głuch, czy jeszcze odmiennie?

54) Czy konopie sadzi nie dla włókna, ale tylko między jarzyną, jako ochronę jej od gąsienic.

55) Czy używa rogoży, pałek, sitowia na plecionki i jakie?

56) Czy używa gdzie lipowego albo wiązowego łyka na chodaki, lub czy istnieje tradycya, że zeszłe pokolenie jeszcze w takich chodziło?

57) Czy lud zbiera gdzie puch z pałek wodnych (rogoża, szuwar) na poduszki?

VII. Olej.

58) Czy lud do postnej omasty kupuje olej, czy go sam wytłacza i z czego? Len, konopie, mak (szary, czy biały), słonecznik. Albo przynajmniej z tradycyi, jak niegdyś bywało.

VIII. Barwidło.

59) Czy lud barwi sam przędzę lnianą, czy konopną, oraz wełnę lub skóry i jak nazywa rośliny w tym celu używane?

60) Czem barwią się pisanki czyli wielkanocne jaja?

61) Czy zbiera się gdzie jeszcze czerwiec polski? Kwestya wprawdzie zoologiczna, ale pozostająca w ścisłym związku z podjętą pracą.

Z pomiędzy tych pytań są takie, które mnie najwięcej obchodzą, są to mianowicie następujące: 4, 7, 9, 10, 14, 23, 28, 33, 35, 36, 37, 44, 46, 47, 51, 57, 59, 60 i 61.

Niech się nikt nie przestrasza i nie zraża taką ilością pytań, wprawdzie wyczerpujące odpowiedzi byłyby mi bardzo pożądane, ale z równą wdzięcznością przyjmę wiadomości, choćby najdrobniejsze, wyjaśniające jedną lub kilka tylko postawionych kwestyj. Bardzo często się zdarza, że rzecz jakaś powszechnie w okolicy jest znana, stąd przypuszcza każdy, że niegodna wzmianki, tymczasem w rzeczywistości o kilka mil dalej już nic o niej nie wiedzą, a takie miejscowe użytki są nieraz prastarym, zresztą wszędzie zaniedbanym zwyczajem i mogą niejedną historycznie ciemną sprawę wyjaśnić.

Odwołuję się nietylko do ogółu mieszkańców wsi, takie same bowiem sprawozdania z miasteczek równie są pożyteczne.

Najciekawsze są też zakątki kraju, które odległe od kolei i dróg komunikacyjnych mogły zachować niejeden jeszcze zwyczaj, który już wszędzie zresztą wyszedł z użycia. Upraszam też wiekowych ludzi, którzy z tradycyi pamiętają niebywałe już dziś rzeczy, aby raczyli pomódz mi swą wiedzą.

Nareszcie odwołuję się do historyków i literatów. Literatura bowiem mego przedmiotu, chociaż złożona przeważnie w specyalnie przyrodniczych i rolniczych dziełach, w bardzo znacznej części kryje się w licznych wzmiankach w dziełach, które z tytułu nie dozwalają nawet przypuszczać, że się coś w nich znajdzie. O zwrócenie więc uwagi na takie wzmianki w dziełach czysto literackich, historycznych, w pamiętnikach i opisach podróży cudzoziemców po Polsce, tyczących się czy to uprawy i użytków roślin, czy kuchni polskiej, najuprzejmiej upraszam.

Zbyteczną zdaje się rzeczą wspomnieć, że wszystkim, którzy zechcą pracę mą poprzeć, we wstępie imiennie podziękuję.

Kraków w lipcu 1883.

Józef Rostafiński,

Profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, dyrektor ogrodu botanicznego — Karmelicka, 29.

Przypisek Redakcyi. Umieszczając w łamach naszego pisma powyższą odezwę, polecamy ją czytelnikom, jako ze wszech miar godne naśladowania hasło do pracy posiłkowej. Księga, którą uczony botanik obmyślił, może stanowić epokę w historyi nauki, i pomimo swego zadania specyalnego, utorować w pewnej części drogę przyszłemu dziejopisarzowi cywilizacyi. Jak lud nasz w różnych okolicach zużytkowywał stopniowo podatność produkcyjną gruntu; jakie rośliny i w jakim celu hodował; o ile korzystał z przykładu sąsiadów a przybyszów i śród ujemnych lub dodatnich warunków cofał się lub kroczył naprzód po danej drodze — są-to wszystko pytania, zostające w mniej lub więcej ścisłym związku z życiem społecznem, obyczajami, religią, poezyą rodzimą i językiem. Autor do wzniesienia znacznego budynku potrzebuje mnóstwo cegieł i cegiełek; nie wątpimy, że jednostki, żyjące w bliskich stosunkach z ludem, zarówno jak badacze różnych dziedzin przeszłości ze skwapliwą pośpieszą mu pomocą.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ofiara. P. Ludwik Grabowski, który niegdyś pierwszy wystąpił z projektem utworzenia „Macierzy polskiej,“ złożył obecnie Akademii krakowskiej 1000 rs, jako procent od sumy 20,000 rs., przeznaczonej przeżeń na cele oświaty, mianowicie na wydawanie dzieł: z zakresu językoznawstwa, historyi polskiej oraz narodów słowiańskich i nauk przyrodzonych. Dalsze wypłaty nastąpią wszakże po dokładnem rozejrzeniu się ofiarodawcy w statutach Macierzy, które mu Akademia zakomunikowała.

Opłaty na rzecz sądów gminnych ciężyły dotychczas wyłącznie prawie na rolniczej ludności; obecnie, jak donoszą gazety rosyjskie, mają być wprowadzone nowe opłaty: od świadectw handlowych i patentów na sprzedaż trunków po 25% od sumy podatku; od świadectw i patentów na utrzymywanie handlów i zakładów przemysłowych po 10% od wnoszonej do skarbu sumy — i od zabudowań fabrycznych i przemysłowych w rozmiarze 1/2 i 1/3% od oceny podanej do ubezpieczenia.

Prasa polska. Magister weterynaryi, H. Kotłubaj, otrzymał zezwolenie na wydawanie pisma p. t. *Hodowca.*

— W Czerniowcach (na Bukowinie) wychodzić będzie pismo polskie co tydzień pod dwoma tytułami— *Gazeta Polska* i *Przegląd Czerniowiecki*—ze względu na służący dwutygodnikom przywilej nieskładania kaucyi. Redaktorem będzie p. Aleksander Morgenbesser, znany jako autor kilku humorystycznych poematów.

— Wydawany w Czerniowcach przez C. Stehlika — *Przedświt* przeniesiony został do Lwowa.

Bibliografia polska. Zaborowski. *O początku mowy*, przekład z francuskiego. Warszawa (Wydawnictwo „Wędrowca.“)

— *Zbiór autorów rzymskich*, objaśnionych przekładem dwojakim, z dodatkiem objaśnień gramatycznych i rzeczowych. Zeszyt VII, Warszawa.

— Bronisław Rysiński. *Historya Michałka Ryby* (książeczka dziesięciogroszowa 2), Warszawa.

— Maksymilian Borucki. *Ziemia kujawska* pod względem historycznym, geograficznym, archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym. Zeszyt 5. Włocławek.

— Jan Karłowicz. *W sprawie pisowni polskiej i wiążących się z nią zagadnień gramatycznych*, Kraków.

Bibliografia rosyjska. Bibliograficzeskije materiały po istorii, statistikie, etnografii i ekonomiczeskomu sostojaniu Polesja. Petersburg.

Nieprawdopodobne. *Kraj* donosi, że w Moskwie, w księgarni Grosmana i Knebla, istnieje osobny oddział polski z czytelnią. Otóż od dwóch lat nikt nie kupił polskiej książki, a od półtora roku czytelnia niema ani jednego abonenta.

Proces socyalistów. W Poznaniu toczył się proces przeciw Padlewskiemu, Słotwińskiemu, Grześkiewiczowi i Bujakowskiemu o propagandę socyalistyczną. Z oskarżonych jeden tylko Padlewski, rodem z Ukrainy, należy do sfery inteligentnej. Wszyscy zostali skazani.

Formalistyka. W Petersburgu, na granicy dwóch dzielnic Szlisselburskiej i Ochteńskiej, znaleziono zbroczonego krwią, umierającego człowieka. Ponieważ leżał na samej granicy, policyanci więc dwóch cyrkułów zaczęli się spierać, którzy z nich obowiązani są ratować umierającego. Spór, w którym przyjęli udział i komisarze cyrkułowi, trwał całą dobę, w ciągu której przedmiot sporu zdążył umrzeć.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.